



JOSIE METCALFE



W śnieżnej krainie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Masz męża?

Czysty głosik małego Matthew Becketta kazał Karen odwrócić wzrok od termometru i popatrzeć na drobną twarzączkę chłopca.

- Nie - odparła, uśmiechając się, by ukryć smutek na wspomnienie tego, co się nie stało. - Nie mam męża - powtórzyła, po czym zerknąwszy na słupek rtęci, wpisała temperaturę chłopca do karty chorobowej.

- Dlaczego? - dopytywał się chłopiec z dociekliwością sześciolatka, której nawet poważna choroba nie jest w stanie utemperować. - Nie lubisz dzieci?

- Bardzo lubię i dlatego pracuję w szpitalu... Żeby się nimi opiekować.

- Ale nie masz swoich dzieci?

- Mam ich cały oddział! - odparła z uśmiechem, mimo że ścisnął jej serce żal za utraconymi marzeniami.

Dociekliwość chłopca poruszyła w niej wspomnienia, o których od pół roku starała się zapomnieć.

- A jak wracasz do domu, to nie jest ci smutno, że nie masz dzieci? - Niebieskie oczy bacznie jej się przypatrywały. - Gdybyś znalazła tatusia, moglibyście sobie zrobić...

Uśmiechnęła się wyrozumiale i przysiadła na brzegu łóżka. Światło nocnej lampki oświetlało szczupłą buzię chłopca. Karen bezwiednie odgarnęła grzywkę ciemnoblonde włosów z jego czoła.

- Kłopot w tym, że moje marzenie o królewiczcu z bajki jeszcze się nie spełniło.

- O królewiczcu? - zdumiał się Matthew. - To ty chcesz poślubić królewicza... takiego jak w filmach Disneya?

- Nie musi wyglądać dokładnie tak samo - odparła, z trudem powstrzymując uśmiech na widok wyraźnej niechęci chłopca do takich romantycznych postaci.

- No to jaki on ma być? - nalegał.

- Hm... Niech się zastanowię. - Udała wielkie skupienie. - Myślę, że powinien być trochę wyższy od ciebie. Prawda?

Matthew zachichotał, rozbawiony jej żartem.

- Mógłby mieć włosy takiego samego koloru jak twoje i oczy koniecznie takie same jak twoje... Bardzo mi się podobają takie szafirowe oczy...

Przerwała, widząc, że coś innego ściągnęło uwagę chłopca.

- Tata! - Matthew rozpromienił się. - Karen wyjdzie za mąż za królewicza, który będzie miał takie same oczy jak ja!

Wstała i przeniosła wzrok na mężczyznę, który przystanął przy łóżku. Musiała wysoko podnieść głowę, by spojrzeć w najpiękniejsze szafirowe oczy, jakie do tej pory udało się jej widzieć.

Chłodny wzrok tego mężczyzny sprawił, że po raz pierwszy od pół roku zdała sobie sprawę, że jest kobietą. Nagle też uświadomiła sobie, że nie wygląda najlepiej w fartuchu zmiętym pod koniec dyżuru, z błyszczącym nosem i nie-staranną fryzurą. Poczula, że się czerwieni.

- Dzień dobry - powiedział i lekko pochylił głowę w geście powitania.

Jego nieco ochryply głos skojarzył się jej z szorstkim, kocim językiem. Mężczyzna tymczasem witał się z synem.

Bez słowa ustąpiła mu miejsca przy łóżku, lecz gdy usiadł i odwrócił się do niej plecami, poczuła się zupełnie niepotrzebna.

Przez chwilę, kiedy przytulał syna, obserwowała dwie głowy o identycznych ciemnoblond włosach. Nie słyszała wprawdzie słów, ale dostrzegła szeroki uśmiech na twarzy chłopca.

Gdy mężczyzna wyprostował się, zasłaniając potężną sylwetką drobną postać na łóżku, Karen zadecydowała, że jej obecność nie jest pożądana, i wyszła z sali.

Właśnie kończyła dyżur i z niechęcią myślała o podróży do domu. Był paskudny, zimowy wieczór. Jej rozmyślania niespodziewanie przerwał ten już nieobcy jej niski głos.

- Czy ma pani wolną chwilę?

Głos rozległ się tuż za nią. Stała jak wryta w pustym korytarzu, po czym odwróciła się w stronę mężczyzny.

- Słucham pana.

Zdobyła się na swobodny i uprzejmy ton tylko dlatego, że trzymając ręce w głębokich kieszeniach fartucha, mogła zacisnąć je w pięści. Co się z nią dzieje? Chyba tylko zmęczeniem można wytłumaczyć tak niezwykłą reakcję na tego człowieka.

- Chciałem porozmawiać o moim synu, Matthew. Ruszyli w stronę pustej świetlicy.

- Powinien pan zwrócić się do jego lekarza prowadzącego albo do siostry Clark. Jako zwykła pielęgniarka niewiele mogę panu powiedzieć...

- To właśnie siostra Clark skierowała mnie do pani - nie pozwolił jej dokończyć. - Twierdzi, że zaprzyjaźniła się pani z moim synem od pierwszej chwili, jak tylko znalazł się dziś rano na oddziale.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Wspaniały chłopak. Muszą państwo być bardzo dumni z tego, jak radzi sobie z chorobą.

- Nie jestem żonaty - rzucił chłodno.

- Przepraszam. - Zmroził ją ten ton pełen dezaprobaty. - Nie wiedziałam...

- Informacje na ten temat są w dokumentach syna. - Obrzucił ją surowym spojrzeniem. - Będę wdzięczny, jeżeli poinformuje pani o tym resztę personelu. Nie chcę, żeby ktokolwiek przypominał mu, że matka opuściła go, kiedy zachorował.

Karen nie potrafiła ukryć oburzenia.

- Skąd mogła wiedzieć... - zaczęła.

- No tak! - To warknięcie niczym nie przypominało śmiechu. - Proszę się nie trudzić wyszukiwaniem usprawiedliwień. Już ona postarała się, żeby Matthew wiedział, dlaczego odchodzi. Powiedziała mu to prosto w oczy.

- O Boże! - Nie pojmowała, jak można być tak okrutnym wobec dziecka. - Jak mogła?

- Bez trudu. Zwłaszcza gdy zawiódł jej oczekiwania. - Umilkł nagle, jakby zawstydzony tym, że za dużo powiedział. - W każdym razie - podjął po chwili - nie o tym chciałem rozmawiać. Chciałem się dowiedzieć, jak Matthew znosi tę zmianę.

- Myślę, że jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić. Jest tu od rana i na razie wszystko wydaje mu się takie samo jak w poprzednim szpitalu. Nie widzę powodu, dla którego leczenie miałoby...

- Przepraszam - przerwał jej w pół zdania. - Nie wyraziłem się jasno. Wiem wszystko na temat jego leczenia, ale od pani chciałem dowiedzieć się czegoś o jego reakcji emocjonalnej.

Zdumiała się. Po raz pierwszy zadano jej to pytanie w tak bezpośredni sposób, że nie była przygotowana na udzielenie odpowiedzi.

- Siostra Clark powiedziała, że była pani z nim na badaniach i że spędziła z nim sporo czasu po południu - podpowiedział jej.

- To niezwykle dziecko... - zaczęła z namysłem. - Zachowuje się jak typowy sześciolatek, który chce oglądać telewizję, po czym nagle z całą powagą podejmuje rozmowę o tym, czy uda się znaleźć na czas dawcę szpiku.

Błady uśmiech przemknął po jego wargach.

- Tak. On jest nadzwyczajny. Po tym, co przeszedł...

- Sam mi powiedział, że w tym tygodniu zaczyna nowy cykl chemoterapii.

- Tak. Ciągłe robimy, co w naszej mocy, żeby doprowadzić do remisji.

W jego głosie brzmiał przejmujący ból, mimo że starał się tego nie pokazać. Karen odniosła wrażenie, że bał się tego, ponieważ mógłby się

załamać. Zdecydowanie nie wyglądał na kogoś, kto potrafi przyznać się do słabości.

- Z tego, co pamiętam z jego dokumentów, lekarze zastosowali nową kombinację leków, więc może ten koktajl okaże się skuteczniejszy. Wydaje mi się, że Matthew łatwo się nie poddaje i jeżeli tylko będzie miał szansę...

Nie wiedziała, co ma mówić. Z całego serca chciała przekonać tego mężczyznę, że jego śliczny synek pokona białaczkę, lecz sumienie nie pozwalało jej karmić go złudzeniami.

- Ostatnio poskarżył się jeden jedyny raz. - Kiedy jego niski głos przerwał milczenie, Karen zauważyła głębokie bruzdy napięcia wokół jego warg. - Był bardzo chory, miał w ustach wrzody, ale narzekał tylko z powodu wypadających włosów. - Zacisnął wargi i odetchnął głęboko.

Kątem oka dostrzegła, że nerwowo zaciska pięści w kieszeniach spodni. Wiedzioną współczuciem, ujęła lekko jego ramię.

- Zrobimy wszystko, co możemy - zapewniła go żarliwie. Instynkt podpowiadał jej, że ten kontakt fizyczny, nawet tak przelotny, jest mu potrzebny. - Jeżeli nowe leki będą powodowały wypadanie włosów, na pewno mu przypomnę, że odrosną.

Zdziwionym wzrokiem wpatrywał się w jej oczy, jakby chciał przeniknąć jej myśli, po czym spojrzał na jej palce na swoim rękawie.

Speszona, ukryła dłoń w kieszeni fartucha.

- Myślę, że to jest wszystko...

- Proszę mi wybaczyć - zaczął. W jego oczach dostrzegła ból. - Mam tylko jego. Dziękuję... Dziękuję za troskę.

- Na tym między innymi polega mój zawód. Na troszczeniu się o innych - odparła przez zaciśnięte gardło.

- To coś więcej. Wszyscy lekarze i wszystkie pielęgniarki troszczą się o pacjentów, bo inaczej nie wytrzymałoby w tym zawodzie, ale to jest coś więcej.

- Ma pan rację. Może po prostu mam słabość do takich dzielnych malców jak Matthew.

- O to chodzi. - Po raz pierwszy ujrzała wesołe błyski w jego oczach. - Matthew powiedział mi, że szuka pani królewicza, który będzie miał jasne włosy i szafirowe oczy.

Zabrakło jej tchu, gdy jej wzrok napotkał jego oczy, takie same jak chłopca.

- To prawda. - Uśmiechnęła się ostrożnie. - Teraz muszę trzymać kciuki i czekać, aż dorośnie.

- Idę! - rzuciła Karen w stronę siostry Clark, tłumiąc ziewnięcie i upychając swoje rzeczy do szafki. Wydawało się jej, że od wczorajszego wieczora stąd nie wychodziła i że na pewno nie zdążyła wyspać się we własnym domu.

- Trzymaj. - Valerie Clark podała jej biały kubek z napisem: „Uwaga, roboty w toku”. - To powinno postawić cię na nogi.

- Dzięki. - Upiła łyk, zasiadając przy biurku zavalonym stosami kart i dokumentów, których ilość wcale nie zmalała dzięki komputeryzacji. -

Uratowałaś mi życie. Słucham. Zaczynij od złych wiadomości. Nieczęsto witasz mnie kawą.

- Domino! - rzuciła Valerie, wiedząc, że Karen świetnie rozumie, co kryje się pod tym kryptonimem.

- Już od świtu?! - jęknęła. - Od czego się zaczęło?

- Rodzice Marka Hoopera ulegli wczoraj wypadkowi.

- Cholera! Jakby mieli mało zmartwień. Odnieśli jakieś poważne obrażenia? Mark też jest ranny?

Polubiła tego chłopca od pierwszej chwili. Był takim samym walecznym dzieckiem jak Matthew Beckett.

- Doznał szoku, ale poza tym nic mu się nie stało. Rodzice, niestety, mieli mniej szczęścia, więc musimy go przyjąć, dopóki nie wyzdrowieją i nie zabiorą

go do domu. Nie jest to dla niego najlepsze rozwiązanie, ale ci z opieki nie mają nikogo, kto mógłby zająć się dzieckiem, które wymaga tylu zabiegów medycznych.

- Nie ma nikogo z rodziny, kto mógłby się nim zająć?

- Nie. Tylko dziadków, którzy nie dadzą sobie rady. Zdaje się, że Hooperowie właśnie od nich wracali, kiedy jakiś samochód nie zatrzymał się na światłach.

- Założę się, że sprawca wyszedł z tego wypadku bez najmniejszego draśnięcia - powiedziała Karen z rezygnacją w głosie.

- Mniej więcej - przyznała Valerie. - Podobno diabeł dba o swoich... - Odwróciła swój kubek do góry dnem, pokazując napis: „Pora na dolewkę”, czym rozśmieszyła Karen, która właśnie dopijała swoją kawę.

- Kiedy Mark Hooper zostanie przyjęty na oddział? - spytała.

- Już tu jest. Właśnie byłam z nim w świetlicy, gdy przyszedł Matthew Beckett i zaproponował mu swoje towarzystwo. - Potrząsnęła głową. - On jest wyjątkowo dojrzały jak na sześciolatka. Mark ma siedem lat, ale Matthew tak się nim zaopiekował, jakby to on był starszy.

Karen poczuła przyjemne ciepło wokół serca, lecz upomniała samą siebie, że nie należy pozwolić, by Matthew wyzwalał w niej takie odczucia.

- Może dobrze byłoby położyć ich na sąsiednich łóżkach? - zaproponowała. - Mark zna już oddział, mógłby więc wziąć Matthew pod swoje skrzydła.

- Za to Matthew opiekowałby się Markiem, dopóki ten nie wyjdzie z szoku - dokończyła Valerie. - Dobry pomysł. Bierzmy się do roboty. Im prędzej Mark będzie miał swoje miejsce, tym szybciej odzyska poczucie bezpieczeństwa.

Szybko uwinęły się z przeprowadzką obu chłopców. Gdy powróciły do codziennych zajęć na dziecięcym oddziale specjalistycznym, Valerie odebrała kolejny telefon.

- Karen? - Stała nieco speszona w drzwiach swego pokoju i gestem przywołała do siebie pielęgniarkę. - Dzwoniła Jenny Barber z chirurgii, żeby nas ostrzec, że nowy onkolog już tu idzie. Nazywa się...

Urwała, ponieważ mężczyzna już stał w drzwiach oddziału. Karen spojrzała w tę stronę akurat w chwili, gdy ojciec małego Matthew ruszył w ich stronę.

- Dzień dobry - powiedziała, czując, że pod spojrzeniem tych niebieskich oczu serce zabiło jej mocniej. - Matthew ma nowe miejsce i nowego sąsiada.

- Przepraszam bardzo, że zjawiam się tutaj tak niespodziewanie.

Karen ściągnęła brwi, zastanawiając się nad podtekstem tych słów oraz zmianą, jaka zaszła w jego zachowaniu. Pojęła wszystko, widząc kilkuosobową grupę, która podążała za nim. Razem weszli do dyżurki Valerie.

- Tak się fatalnie złożyło - zaczął, sadowiac się na brzegu biurka - że doktor Firzal miał zawał minionej nocy.

W związku z tym zarząd szpitala zwrócił się do mnie z prośbą, żebym natychmiast go zastąpił.

- To okropne! - szepnęła Karen, szczerze zmartwiona chorobą głównego onkologa. - Jak on się czuje?

- Jest w tej chwili na obserwacji, ale wszystko wskazuje na to, że zawał nie był rozległy.

- Wróci na nasz oddział? - zapytała Valerie, która, podobnie jak Karen, bardzo lubiła tego spokojnego lekarza. - Nasze dzieci za nim przepadają.

- Raczej nie wróci - rzucił spoza pleców Becketta jakiś mężczyzna w szarym garniturze. - Doktor Firzal już jakiś czas temu rozważał możliwość przejścia na pół etatu, a ta choroba sprawiła, że zdecydował się przekazać rządy w ręce doktora Becketta.

Karen nadal nie mogła uwierzyć, że ojciec Matthew Becketta będzie teraz ich nowym konsultantem.

Spodziewała się wprawdzie, że będzie go często spotykała jako rodzica jednego z pacjentów, dopóki dziecko nie wyzdrowieje albo dopóki nie odbierze go im bezlitosna białaczka, ale teraz, kiedy objął stanowisko oddziałowego onkologa, otworzyła się przed nią szansa widywania go regularnie przez całe lata...

- Obawiam się, że w ciągu nadchodzących tygodni będę zmuszony w dużej mierze wyręczać się panią i resztą personelu. Miałem podjąć tę pracę dopiero w styczniu, ponieważ chciałem mieć czas na przeprowadzkę, a także chciałem być z moim synem podczas kolejnego cyklu chemoterapii.

Kiedy zerknął przez szybę na oddział, Karen zauważyła, że uśmiechnął się lekko na widok syna skupionego nad jakąś grą, w którą grał ze swoim nowym kolegą.

Odwrócił wzrok.

- Tak się złożyło, że doktor Firzal nie zdążył pokazać mi tego oddziału ani chirurgii. W tej sytuacji, dopóki nie zyskam rozeznania, będziecie musieli pchać mnie we właściwym kierunku albo na mnie krzyczeć.

Nawet dyrektor administracyjny uśmiechnął się na myśl, że którakolwiek z pielęgniarek odważyłaby się komenderować doktorem Beckettem, po czym zerknął na zegarek i oświadczył, że musi wracać do papierków, które czekają na niego w biurze.

- Papierki! - prychnęła Valerie, kiedy drzwi w końcu zamknęły się za ostatnim gościem. - Założę się, że góra papierków, jakimi my musimy się zajmować, przykryłaby cały ten szpital!

Karen tylko jęknęła, obserwując z uwagą, jak cała grupa czeka cierpliwie, aż doktor Beckett pożegna się ze swoim synem.

Kiedy słuchał paplaniny chłopców, po raz pierwszy zobaczyła, jak prawdziwy uśmiech potrafi zmienić jego twarz.

- Nie przyszło mi do głowy skojarzyć nazwiska tego chłopca z naszym nowym konsultantem - dziwiła się Valerie, kiedy już rozdały leki i mogły w

końcu zasiąść w południe przy kawie. - Pewnie miałam wolne, kiedy tu przyszedł pierwszy raz. Przypominasz go sobie?

- Chyba nie. - Karen zmarszczyła czoło. - Nie pamiętam go.

- Nie gadaj! Nie powiesz mi, że mogłabyś go nie zapamiętać. Ależ on jest przystojny!

- Valerie! Co by Tom na to powiedział?

- To, że mam męża, nie znaczy, że umarłam - odcięła się Valerie. -

Dopóki tylko patrzę, znaczy, że hormony mam w porządku i tym lepiej dla Toma!

Śmiejąc się razem z przyjaciółką, Karen analizowała swoją własną reakcję. Czy konsekwencje okrucieństwa Garetha są nieodwracalne, czy może jednak kiedyś znowu będzie umiała podziwiać przystojnych mężczyzn - tak jak Valerie?

Westchnęła cicho i potrząsnęła głową. Nie ma zamiaru dać się ponownie zranić, więc nie pozwoli, aby ktoś się do niej zbliżył w jakikolwiek znaczący sposób. Ani straszycie, ani Apollo.

- Czy myślisz, że Beckett będzie trzymał się planu operacji ustalonego przez doktora Firzala? - zastanawiała się na głos. - Jutro mamy przyjąć tego chłopca z guzem nerki.

Valerie potarła czoło.

- Nie mam pojęcia - wyznała. - Chyba muszę zadzwonić w kilka miejsc na wypadek, gdyby miało się okazać, że to jest jedna z tych spraw, kiedy mamy na niego krzyczeć.

Reszta dyżuru upłynęła Karen w towarzystwie Holly Burton, która zamierzała specjalizować się jako pielęgniarka pediatryczna i nie przepuszczała żadnej okazji, aby zadreć swoją mentorkę pytaniami dotyczącymi jej kursu.

- Masz już za sobą pierwszy rok i jesteś absolutnie pewna, że odpowiada ci ta specjalizacja? - spytała Karen.

- Tak - oświadczyła Holly, zadziornie podnosząc głowę. - Jeżeli chcę mieć kiedyś swój własny oddział, muszę zdobyć odpowiednie kwalifikacje.

Karen miała ochotę się uśmiechnąć. Ile to lat temu ona sama była taka młoda i chętna brać się z życiem za bary?

- To oczywiste, że specjalizacja pomoże ci objąć bardziej odpowiedzialne stanowisko.

- Czy to bardzo trudne? Ja, broń Boże, nie chcę się od niczego wykręcać. - Holly nie chciała być źle zrozumiana. - Chciałabym tylko wiedzieć, z czym się to łączy.

- Na pewno będziesz musiała spędzić sporo czasu z nosem w książkach - ostrzegła ją Karen. - To jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, co cię czeka, zanim przyjdiesz na oddział.

- I uważasz, że powinnam to zrobić, jeżeli chcę pracować z dziećmi?

- Moim zdaniem ten kurs powinien być obowiązkowy - odparła Karen z przekonaniem. - Pielęgniarstwo poczyniło ogromne postępy, a dochodzi do tego nowoczesna technika. Żeby temu sprostać, trzeba stale podnosić kwalifikacje pielęgniarek.

- Podobno w niektórych dziedzinach medycyny pielęgniarki są lepiej wyszkolone niż lekarze, którzy tylko wydają polecenia. - Holly znacząco uniosła brwi.

- To my o tym wiemy - powiedziała Karen półgłosem, cedząc słowa kątem ust niczym postać ze szpiegowskiego filmu. - Ale na razie zachowajmy to dla siebie. Róbmy swoje, żeby zbytnio nie nadwerężyć kruchych ego panów doktorów, zanim dojrzeją, żeby się z tym pogodzić.

Roześmiały się. Przyjemny nastrój towarzyszył im przez resztę dyżuru. Karen lubiła rolę mentorki, szczególnie wtedy, gdy trafiała się jej dziewczyna tak żadna wiedzy jak Holly. Wystarczyło raz jej wytłumaczyć konkretny sposób postępowania, by w lot pojęła, co i jak ma robić.

- Holly błyskawicznie nawiązuje kontakt z dziećmi - zauważyła Karen, przekazując Valerie oddział. - Niektórzy rodzice podejrzliwie patrzyli na taką smarkulę, ale ona wspaniale sobie z nimi poradziła.

- Wygląda bardzo młodo na tle takich starych bab jak my - stwierdziła zgryźliwie Valerie. - My nie przyszliśmy do szpitala zaraz po szkole.

- Za to z racji większej dojrzałości wniosliśmy większe doświadczenie - rzuciła pompatycznym tonem Karen i obydwie się roześmiały.

- Nie mam pojęcia, czym się zajmowałaś, zanim poszłaś na kurs pielęgniarstwa - zauważyła niespodziewanie Valerie. - A ja wszystko ci opowiedziałam o moim nieudanym, wczesnym małżeństwie i o tym, jakim zbawieniem okazał się Tom. Nic o tobie nie wiem...

- Opiekowałam się rodzicami - powiedziała Karen półgłosem, ograniczając informację do minimum. - Nie ruszali się z domu przez wiele lat, a po śmierci mamy tata bardzo szybko poszedł w jej ślady.

- Współczuję ci. - Valerie pogładziła dłoń koleżanki. - Byłaś ich jedyną córką?

- Jedyńką. Byli bardzo staroświeccy i na przykład nie wyobrażali sobie, żeby mógł ich doglądać ktoś z zewnątrz. Uważali, że mają prawo oczekiwać ode mnie, żebym zrezygnowała z marzeń o pracy zawodowej po to, żeby się nimi zajmować.

Z ulgą przyjęła przybycie zmienniczki. Nie chciała ciągnąć tej rozmowy, tym bardziej że usłyszała ton rozgoryczenia w swoim głosie.

Czuła wprawdzie, że w dużej mierze pogodziła się z wydarzeniami tamtych lat, ale nie była jeszcze gotowa do rozmawiania o nich z innymi. Dla koleżanek była po prostu osobą, która dosyć późno zajęła się pielęgniarstwem i była całym sercem oddana tej pracy.

Nazajutrz rano w zachowaniu Marka zaszła ogromna zmiana na niekorzyść. Pomimo wysiłków całego personelu chłopiec nie chciał wyjawić, co go dręczy.

Valerie już miała wezwać lekarza, gdyby okazało się, że przyczyną jest opóźniona reakcja na wypadek, któremu uległ wraz z rodzicami, gdy Karen przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Poczekaj jeszcze trochę - szepnęła, spostrzegłszy posępną twarzyczkę Matthew. - Podejrzewam, że jest ktoś, kto wie, co się dzieje z Markiem. Muszę go tylko tak podejść, żeby mi powiedział.

Zdumiała ją lojalność sześciolatka wobec kolegi.

Gdy jednak wytłumaczyła mu, że stan Marka wszystkich zaniepokoił, chłopiec postanowił wyznać Karen całą prawdę.

- Bo to chodzi o jego życzenie - wyznał szeptem, jakby się obawiał, że Mark usłyszy go przez ściany świetlicy, gdzie go zabrała.

- Życzenie?

- Tak. Ktoś, kto spełnia życzenia, miał zabrać jego i jego rodziców w odwiedziny do Świętego Mikołaja. Ale teraz wszyscy są w szpitalu, niedługo będzie Boże Narodzenie i nie pojedą.

Karen nareszcie pojęła. Jak mogła, pracując od roku z nieuleczalnie chorymi dziećmi, zapomnieć o Fundacji Spełniania Życzeń i cudach, jakich ci ludzie starają się dokonywać dla dobra swych podopiecznych?

- Czy Mark powiedział o tym życzeniu siostrze Clark?

- Ona im je przekazała. Przyszli do niego do domu i rozmawiali z nim o jego marzeniach, a potem powiedzieli, że poleci samolotem do Świętego Mikołaja, zobaczy renifery i w ogóle...

Dwie ogromne łzy potoczyły się po policzkach chłopca.

- Och, Matthew. Nie płacz. - Przytuliła go serdecznie. - Skoro już wiem, na czym polega problem Marka, postaram się znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Czy myślisz, że ci ludzie od spełniania życzeń potrafią w porę wyleczyć jego rodziców?

- Nie, skarbie. Oni nie potrafią spełniać takich życzeń. Ale obiecuję ci, że zaraz poproszę siostrę Clark, żeby do nich zatelefonowała i opowiedziała, co się

stało. Idź do Marka i poradź mu, żeby trzymał kciuki i żeby wymyślił jakieś wyjątkowe, wspaniałe życzenie. Zobaczymy, co się da zrobić.

Chłopiec rozpromienił się. Dopiero w progu przypomniał sobie, że należy jej podziękować.

- Szkoda, że trzymanie kciuków nie rozwiązuje wszystkich problemów.

Słowa te wypowiedział ojciec Matthew, który właśnie wszedł do pokoju. Serce Karen zabiło mocniej.

- Na pewno nasza praca byłaby wtedy znacznie łatwiejsza - odparła sucho, wstając z leżanki.

- Z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, wnoszę, że mamy do czynienia z poważnym problemem.

- Odwołanie tej podróży na pewno nie poprawi stanu ducha Marka ani Matthew. Takiego życzenia nie da się spełnić w innej porze roku.

- Z drugiej strony przebieg jego choroby wskazuje, że są nikłe szanse, żeby za rok Mark był wśród nas - westchnął lekarz. - Myślę, że możemy jedynie poprosić siostrę Clark, żeby się skontaktowała z Fundacją i zawiadomiła o wypadku jego rodziców. Może coś wymyśli.

ROZDZIAŁ DRUGI

Karen nie mogła się doczekać powrotu do szpitala.

Wychodząc z dyżuru poprzedniego wieczoru, ku swemu niezadowoleniu ciągle nie знаła rozwiązania problemu Marka.

Rano pierwsze kroki skierowała do pokoju siostry Clark.

- No i co? - rzuciła od drzwi. - Coś wymyślili?

- Dzień dobry - przywitała ją Valerie, wlewając mleko do kubka.

- Och, przepraszam. - Karen skrzywiła się. - Dzień dobry, siostró. Mam nadzieję, że miała pani spokojną noc i udaną podróż do pracy. A teraz mów, co z tym wyjazdem.

- Masz tu swój kubek i usiądź. - Valerie roześmiała się. - Nie znam większego uparciucha niż ty, jak się na coś napalisz.

- Przestań, Val! - Sięgnęła po kubek, najchętniej jednak udusiłaby swoją szefową.

- Spokojnie! - Siostra Clark przysiadła na brzegu biurka. - Udało mi się złapać jedną z organizatorek wycieczki Marka. Przyszła do mnie wczoraj wieczorem.

- I co?

- Okazuje się, że już mieli do czynienia z podobną sytuacją. Mają kilka rozwiązań...

- Aż kilka? To brzmi pocieszająco.

- Nie wszystkie można zrealizować w przypadku Marka. Na przykład poczekać, aż rodzice dojdą do siebie.

- I to z dwóch powodów - zauważyła Karen. - Po pierwsze, kiedy będą mogli podróżować, będzie już dawno po Bożym Narodzeniu.

- Po drugie, w przyszłym roku on już będzie gdzie indziej - dokończyła ze smutkiem Val. - I dlatego ta kobieta proponuje, żeby Mark pomyślał o innym marzeniu niż wizyta u Świętego Mikołaja.

Spoglądając na twarz Valerie, Karen błyskawicznie odgadła, jak chłopiec zareagował.

- Nie przyjmuje żadnych argumentów? - zapytała.

- Absolutnie - potrząsnęła głową Valerie. - Powiedział mi, że napisał już list do Świętego Mikołaja i podał datę swojej wizyty. Rodzice wysłali go w zeszłym tygodniu.

- O Boże! - szepnęła Karen, wzruszona bezgraniczną ufnością dziecka, czując jednocześnie, jak wzbiera w niej wściekłość na myśl o kierowcy piracie. - A inne propozycje?

- Mark mógłby pojechać w ustalonym terminie, gdyby towarzyszył mu ktoś inny z rodziny, ale... - wzruszyła ramionami.

- Przecież on ma tylko dziadków, dla których zagraniczna podróż jest nie do pomyślenia - dokończyła Karen.

- Co z nim zrobić?

- Musi tam pojechać ze względów psychologicznych - oświadczyła Valerie stanowczym tonem. - Trzeba poszukać kogoś, kto zmieni swoje świąteczne plany, potrafi opiekować się dzieckiem z guzem mózgu i zgodzi się pojechać do Laponii na spotkanie ze Świętym Mikołajem.

Przez cały dzień Karen miała w uszach słowa Valerie. Ilekroć spojrzała na Matthew i Marka, ogarniał ją smutek.

Przypomniała sobie ten dzień, kiedy Valerie powiedziała jej, że zgłosiła kandydaturę Marka do Fundacji, a także jak jakiś czas później przyszła wiadomość, że podjęto już przygotowania do wymarzonej podróży chłopca.

Nie po raz pierwszy miała sposobność zauważyć, jak zbawienny wpływ mają takie plany na stan zdrowia jej podopiecznych. Wydawało się, że od chwili, gdy nadeszło potwierdzenie, Markowi stale przybywa sił, jakby wyniszczający go rak zatrzymał się w rozwoju.

Teraz jednak, gdy zawisła nad nim chmura niepewności, chłopiec przycichł tak bardzo, że Karen czuła, iż stracił wszelką nadzieję.

Uratowała go nieoczekiwana serdeczność Matthew. Z niewielką pomocą Karen udało mu się sprowokować kolegę do mówienia. Mark opowiedział mu, jak doszło do tego, że został wybrany. W miarę jak rosło zainteresowanie Matthew szczegółami podróży, Mark coraz bardziej się ożywiał. Chwilami mogło się wydawać, że jego przygnębienie zniknęło bez śladu.

- Musimy zrobić wszystko, żeby tam poleciał - stwierdziła Karen na zakończenie swojej relacji o dokonaniach Matthew, po czym wypytała Valerie, kto i co w tej sprawie już zrobił. - Matthew wspierał go całym sercem. Myślę, że byłby tak samo niepocieszony jak Mark, gdyby miał spędzić Boże Narodzenie w szpitalu, zamiast wyjechać.

- Za pół godziny spodziewam się telefonu - poinformowała ją Valerie. - Przez ten czas mogłabyś zaprowadzić Marka do rodziców, żeby rozwiać jego niepokój. Być może, jak wrócicie, będę miała dla niego jakieś dobre wiadomości.

Karen przysunęła fotel na kółkach do łóżka Marka. Bardzo pragnęła, by słowa koleżanki się ziściły.

- Karetą gotowa, młody człowieku. Poranny ekspres, którym pojedziemy do mamy i taty.

Mark odwrócił się w jej stronę. Nadal był bardzo smutny.

- Nie zobaczymy się, bo oni też są w szpitalu - szepnął. - Najechał na nich samochód.

- Chyba to nie znaczy, że nie możesz ich odwiedzić? - zapytała wesołym tonem. - Tak będzie sprawiedliwie. Oni ciebie odwiedzali, kiedy byłeś taki chory, że nie mogłeś wstawać z łóżka. Teraz twoja kolej.

- Naprawdę? - W jego oczach zamigotały wesołe iskierki. - Mogę ich odwiedzić?

- Musisz tylko wsiąść na ten fotel. - Poklepała siedzenie wózka. - Jedziemy?

Pomogła mu wygładzić szlafrok, zawiązała pasek, po czym przeniosła go na wózek: Mark był przeraźliwie lekki i chudy. Przygryzła wargi, by pozbyć się myśli o tym, jakim byłby silnym chłopcem, gdyby nie straszliwa choroba.

- Wygodnie ci? - spytała, ustawiając mu stopy na podnóżku.

- Mhm - mruknął, nasuwając mocniej baseballową czapkę na odrastające włosy. - Cześć, Matthew - rzucił na odjezdnym.

- Czy to daleko? - zapytał teatralnym szeptem, kiedy zatrzymali się przed windą. - Długo będziemy tam jechali? Czy oni wiedzą, że przyjadę?

W pytaniu tym zadźwięczała nuta niepewności. Gdy Karen ustawiała wózek w windzie, chłopiec rzucił jej pytające spojrzenie.

- Wiedzą, ale nie dzwoniłam na oddział, żeby ich uprzedzić, że już jesteśmy w drodze. Pomyślałam, że może zechcesz zrobić im niespodziankę.

- Tak, zrobimy im niespodziankę! - zawołał uradowany, po czym zaczął obserwować zmieniające się numery mijanych pięter.

- Jeszcze dwa skrzyżowania - poinformowała go, gdy po chwili jechali długim korytarzem. - Najpierw odwiedzimy mamę, a potem tatę, zgoda?

Odezwał się dopiero po chwili.

- Zatrzymajmy się - powiedział.

Zrozumiała, że sprawa jest poważna, zjechała na bok i przykucnęła przed wózkiem.

- O co chodzi, Mark? - Dostrzegła niepokój w jego oczach. - Powiedz.

- Czy oni... - Zawahał się, po czym wyrzucił z siebie:

- Czy on ciągle są cali umazani krwią?

- Ależ nie! - zapewniła go gorąco, starając się nie okazać zdumienia, by nie urazić jego uczuć. - Pielęgniarki umyły ich i doprowadziły do porządku, jak tylko przywieziono ich do szpitala.

- I... wyglądają jak moja mama i mój tata?

- Oczywiście. Mają różne guzy, siniaki, plastry i gips, ale czują się coraz lepiej.

Starala się mówić tonem spokojnym i kojącym, bo chociaż już mu o tym mówiono, był wówczas zbyt wstrząśnięty, by cokolwiek pamiętać.

- I... nie umrą? - zapytał cicho, drżącym głosem.

- Na pewno nie - oznajmiła stanowczym tonem, ujmując jego dłonie.

Ścisnęła je kurczowo. - Nie umrą - powtórzyła.

- Przysięgasz? Przysięgasz, że nie umrą?

- Przysięgam. - Miała ochotę przygarnąć go do siebie i odgrodzić od chaosu, jaki zapanował w jego życiu. - Jedziemy - zakomenderowała, oswobodzając swoje dłonie.

- Możemy już zrobić im tę niespodziankę?

- Jasne!

- Chyba zdaje sobie pani sprawę, że sprowokowała nowy problem? - usłyszała znajomy, niski głos.

Szła właśnie po skończonym dyżurze pożegnać się z Valerie.

- Ale mnie pan przestraszył! Nie zauważyłam pana.

- Powiodła wzrokiem po długich nogach, które tarasowały jej przejście w ciasnej dyżurce, po szerokiej klatce piersiowej i barczystych ramionach, zasłaniających całe oparcie jedyne wygodnego fotela w tym pokoju.

- Szukałam Valerie... Siostry Clark - wyjąkała.

- Ostatnio widziano ją, jak z wściekłym błyskiem w oku znikła w oddali.

- Słucham? - Odniosła wrażenie, że się przesłyszała.

- Zdaje się, że chodziło o jakąś stażystkę, którą w coś wrobiła mniej pracowita koleżanka - wyjaśnił obojętnym tonem.

- Coś takiego zawsze doprowadza Valerie do szewskiej pasji - przyznała Karen. - Stale powtarza, że praca pielęgniarek jest tak ciężka, że osoby odpowiedzialne nie powinny nam jej dodatkowo utrudniać.

- Założę się, że Val zalicza do nich lekarzy. Lekko uniósł kąćki warg.

- Oczywiście - przyznała, wpatrując się w ten pierwszy uśmiech, wysłany pod jej adresem. - Dla siostry Clark hierarchia się nie liczy.

- Dziękuję za ostrzeżenie, bo już zaczęło mi się wydawać, że po latach pracy zasługuję na odrobinę wyrozumiałości ze strony niższych szeregów.

- Zdaje się, że nie wie pan, jakie powiedzenie krąży wśród pielęgniarek. Lekarze są jak mały: im wyżej na drzewie, tym wyraźniej widać ich brzydkie strony!

Zapadła martwa cisza. Dopiero po chwili przerwał ją gromki śmiech lekarza.

- Rzeczywiście potraficie pokazać nam, gdzie jest nasze miejsce - zauważył cierpko, odzyskawszy oddech. - Wśród takich mądrał nie ma miejsca na osobniki cierpiące na przerost ego.

- Staramy się - odparła skromnie. - W ten sposób odgrywamy się na przeróżnych bufonach starszych rangą.

Nagle zdała sobie sprawę z niestosowności tej wypowiedzi.

Aby uniknąć spojrzenia jego szafirowych, bystrych oczu, zerknęła na zegarek.

- Chyba dopiero jutro będę miała okazję porozmawiać z siostrą Clark - stwierdziła, kierując się do drzwi. - Mam nadzieję, że nie będzie pan musiał długo na nią czekać.

- Prawdę mówiąc, czekałem na panią - powiedział, zatrzymując ją.

- Na mnie? - Odwróciła się. - Rzeczywiście. Powiedział pan, że stworzyłam nowy problem.

- Owszem - potwierdził. - Proszę usiąść, bo sam nie bardzo wiem, jak go rozwiązać.

- O matko! - jęknęła siadając. - To bardzo ryzykowne pod koniec dyżuru. Teraz nie będzie mi się chciało wstać.

Parsknął, tłumiąc śmiech, co jej z kolei kazało przypuszczać, że usłyszał każde słowo pomimo szelestu toreb, które stawiała obok krzesła.

- Wiem z dobrze poinformowanego źródła, że to pani wpadła na pomysł, żeby Matthew wziął Marka na spytke - zaczął oficjalnym tonem.

- Tak - przyznała. - Mark był strasznie przygnębiony, więc pomyślałam sobie, że opowiadanie o podróży powinno poprawić mu nastrój.

- Rezultat był wspaniały - stwierdził. - Problem polega na tym, że Matthew koniecznie chce z nim pojechać.

- Och, przepraszam, doktorze.

- To nie pani wina. Nie zna pani przecież talentów reklamowych Marka ani nie przewidziała pani entuzjazmu mojego syna na wieść o takich cudach. - Westchnął. - Niewiele dobrego spotkało go w tym roku.

- Czy myśli pan, że powinnam z nim porozmawiać? - zaproponowała. Natychmiast jednak uprzytomniła sobie, że będzie musiała rozwiązać marzenia chłopca. - Może przekona go wiadomość, że lista czekających dzieci jest bardzo długa...

- Wolałbym, żeby była pani przy tym, jak ja... - Na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia. - Nie, to niemożliwe.

- Co takiego? Jeżeli ma pan jakiś pomysł, żeby zająć go czymś innym...

- Prawdę mówiąc, chciałem się od pani dowiedzieć, czy jest możliwe, żeby obaj pojechali na tę wycieczkę.

- O! Nie przyszło mi to do głowy - odparła z namysłem. - Matthew uniknąłby rozczarowania... - Chrząknęła nerwowo. - To są fundusze z akcji dobroczynnych. Fundacja może sfinansować przelot, jeżeli uzbiera odpowiednią sumę. Poza tym nie mogą wydać tych pieniędzy na dodatkowe osoby...

- A gdybym to ja przeznaczył na cele dobroczynne sumę konieczną do pokrycia kosztów związanych z wyjazdem obu chłopców? - wtrącił. - W ten sposób Fundacja mogłaby przeznaczyć pieniądze zebrane na podróż Marka dla innego dziecka.

Karen rozważała ten pomysł, szukając słabych stron.

- Wydaje mi się, że byłoby to idealne rozwiązanie - odezwała się w końcu. - Musiałby pan skontaktować się z organizatorami, a oni przekazaliby tę propozycję do biura w Londynie.

- Co wy tu knujecie? - Do pokoju weszła Valerie i natychmiast włączyła czajnik. - Macie takie miny, że czuję, że mocna kawa dobrze mi zrobi, zanim wszystkiego się dowiem.

- Posłuchaj - zaczęła Karen rozgorączkowanym tonem. - Chyba znaleźliśmy, to znaczy doktor Beckett znalazł rozwiązanie.

Gestem oddała mu głos.

- Ponieważ nie rozmawiamy o sprawach zawodowych, proponuję, żebyście zwracały się do mnie po imieniu, a na imię mam Nathan.

Uśmiechnął się do Valerie, dziękując jej za kubek z kawą i odsuwając od siebie cukierniczkę.

- Oj, chyba to nie jest ten odpowiedni, Val - zauważyła Karen, wskazując na nadruk.

- „Do roboty, szef idzie!” - przeczytał tym swoim niskim głosem i zawtórował przełożonej śmiechem.

- Co macie mi do powiedzenia? - Valerie odsunęła na bok stertę papierów i oparła się o biurko. - Co się tu działo podczas mojej nieobecności?

Ten niewinny żart przyprawił Karen o rumieniec, jakby ona i doktor Beckett... Nathan...

- Chyba znaleźliśmy sposób, żeby rozwiązać problem Marka. - Niski głos zagłuszył jej chaotyczne myśli. - Czy myślisz, że Fundacja Spełniania Życzeń może mieć coś przeciwko temu, żebym dokonał darowizny na pokrycie kosztów związanych z wyjazdem Marka i mojego syna?

- Nie mam pojęcia. - Valerie zadumała się. Dopiero po chwili uśmiechnęła się, po czym zaczęła szperać w szufladzie. Wydobyła z niej notes. - Mam tu numer przedstawicielki jednego z oddziałów regionalnych. Zadzwoń do niej?

- Daj nam jeszcze chwilę na zastanowienie. Jakie mogą być konsekwencje? Rozumiem, że jak dotąd sprawa wyjazdu Marka nie posunęła się do przodu.

- Nie. Na razie tkwimy w martwym punkcie, ponieważ zaistniał problem osoby towarzyszącej. Jest mnóstwo ludzi, którzy z dziką radością spędziliby święta w Laponii, ale kiedy okazuje się, że chodzi o opiekę nad poważnie chorym chłopcem, wymagającym troski przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, liczba chętnych topnieje błyskawicznie.

- Poza tym większość woli spędzać święta w rodzinnym gronie - dorzucił cicho - co sprawia, że robi się ich jeszcze mniej.

- Zanim wpadliście na ten pomysł, nikt nam nie został... - zaczęła entuzjastycznie Valerie, lecz po chwili uśmiech zniknął z jej twarzy. - Nathan, jak sobie poradzisz z dwójką chłopaków? Matthew wprawdzie skończy już chemoterapię, chociaż nadal będzie bardzo chwiejny z powodu skutków ubocznych, Mark z kolei nie jest kłopotliwy, pod warunkiem, że jest w formie...

- Ja mogę pojechać... - Karen usłyszała swój głos, ale znaczenie tych słów dotarło do niej dopiero wtedy, gdy zorientowała się, że oboje na nią patrzą.

- Jasne! Karen! - Valerie była zachwycona.

- To bardzo szlachetna propozycja, ale co z twoimi planami na święta? Chyba powinnaś najpierw zapytać rodzinę, czy nie ma nic przeciwko temu, że znikniesz akurat wtedy.

- Z tym nie będzie problemu - pospieszyła z wyjaśnieniem Val, nim Karen zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Ona nie ma rodziny. Zazwyczaj bierze świąteczne dyżury, żeby koleżanki mogły mieć wolne.

Karen zaboląła bezpośrednio Valerie, lecz jednocześnie zauważyła błysk zaciekawienia w szafirowych oczach. Z zadowoleniem przyjęła zmianę tematu rozmowy. Nie wspominali już o jej rodzinie, lecz zajęli się problemem, który teraz pochłaniał ich najbardziej. Wydawało się jej jednak, że informacja udzielona przez Valerie została zachowana do wyjaśnienia w późniejszym terminie.

- Świetnie! - oświadczyła siostra Clark, przysuwając bliżej telefon. - Może podczas tego dyżuru uda się nam zamknąć tę sprawę.

- W co ja się wpakowałam? - myślała Karen, nie mogąc zasnąć.

Wiedziała, że pytanie to nie da jej spokoju aż do chwili wyjazdu.

Problemem nie była podróż do Laponii ani opieka nad dwójką poważnie chorych chłopców w kraju, gdzie temperatura często spada poniżej minus piętnastu stopni.

Nie, to nie o to chodzi, westchnęła, zastanawiając się nad tym dylematem nie wiadomo który już raz. Z tym wszystkim sobie poradzi. Niepokoiło ją to, że ma towarzyszyć mężczyźnie, który niespodziewanie stał się ucieleśnieniem jej najskrytszych, młodzieńczych marzeń. Nie chciała zachować się jak idiotka.

Jeszcze nawet nie masz pewności, że tam jedziesz, tłumaczyła sobie następnego poranka, czekając na przedstawicielkę Fundacji. A może tylko zerkną na mnie i załamają ręce... - pocieszała się.

Jednak dobrze wiedziała, że tak się nie stanie. Poznała te dwie oddane sprawie i bardzo rzeczowe kobiety już wcześniej, przy okazji urzeczywistniania marzeń innych podopiecznych.

A może doktor Beckett... Nathan znajdzie sobie kogoś innego i nie będę musiała jechać, pomyślała. Miała jednak pełną świadomość tego, jak bardzo byłaby wówczas rozczarowana, tym bardziej że centrala Fundacji już zaaprobowwała ich plan.

On w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Uśmiecha się dopiero, jak zobaczy Val... Zacisnęła wargi. Nie podobały się jej te gorzkie myśli. Jeżeli to przez niego, najwyższy czas przestać zaprzętać sobie głowę doktorem Nathanem Beckettem.

Łatwiej jednak coś takiego powiedzieć, niż wprowadzić w czyn.

Postanowiła wrócić do poprzedniej taktyki polegającej na braku zainteresowania kolegami z pracy, a w szczególności doktorem Beckettem, tymczasem on zdawał się być wszędzie tam, gdzie ona.

Wpadał teraz na oddział o dziwnych porach, żeby zobaczyć się z synem, który bardzo cierpiał z powodu różnych, nader przykrych skutków ubocznych

nowego koktajlu leków. Co więcej, ilekroć znalazł się przy jego łóżku i zabawiał go, aby odwrócić jego uwagę od cierpienia lub po prostu dotrzymywał mu towarzystwa, jej wzrok rejestrował wyraźnie tę więź, jaka ich łączy.

Poza tym stale musiał odwiedzać różnych pacjentów na tym właśnie oddziale: a to nowych, którymi trzeba było się zająć przed rozpoczęciem kuracji, a to rekonwalescentów po operacjach lub długotrwałej terapii.

- Holly, pozwól tutaj - przywołała praktykantkę. Sama nie wiedziała, czy traktuje przybycie Stevena Collisona jako okazję szkoleniową czy jako parawan odgradzający ją od Nathana Becketta.

- Wspominałam wczoraj o Stevenie i o tym, że wykryto u niego guza nerki. Miałaś czas zapoznać się z tą chorobą?

- Ciii - szepnęła Holly.

Odwróciły się, by stanąć twarzą w twarz z młodym człowiekiem, który właśnie przybył.

- Cześć, siostró - rzekł z uśmiechem. - Jeżeli ona będzie cię maglować w sprawie guza Wilmsa, zwróć się do mnie, a wszystko ci powiem.

Holly zaczerwieniła się po uszy.

- Dziękuję panu, panie...?

- Nazywam się Collison. Ted Collison. Rozmawiały panie o moim synku, Stevenie.

Ręką wskazał na chłopca, który bezwładnie leżał w ramionach matki.

- Dokszałcał się pan - zauważyła Karen.

- Oczywiście! Uważam, że niewiedza jest bardziej przerażająca niż znajomość faktów. Kiedy więc powiedziano nam, co dolega Stevenowi, przeczytaliśmy na ten temat wszystko, co się da. Dowiedzieliśmy się, na przykład, że jest to złośliwy guz nerki, oraz że siedemdziesiąt pięć procent przypadków występuje u dzieci przed ósmym rokiem życia.

- Prymus - stwierdził Nathan już w progu. - Zdaje się, że nie da mi pan chwili wytchnienia.

- Ależ nie, panie doktorze - odezwała się po raz pierwszy Louise Collison.
- Nie będziemy się wtrącać.

- Oczywiście, że nie - potwierdził młody ojciec, podając lekarzowi dłoń. -
Cieszy nas, że wykryto go wcześniej, w początkowym stadium rozwoju. Gdyby
nie pana wiedza, Steven nie miałby szans na całkowite wyleczenie.

- Upłynie sporo czasu - zaczął Nathan ostrożnie - nim będzie można
zacząć mówić o wyleczeniu. Pomimo wczesnej diagnozy, Stevena czeka jeszcze
bardzo długa droga.

- My to rozumiemy - oznajmił młody człowiek. - Wiemy, że do tego
potrzebne są operacja, radioterapia i chemoterapia. Jednak wszyscy autorzy są
zgodni co do tego, że wskaźnik przeżycia w tym przypadku jest najwyższy
wśród nowotworów dziecięcych.

- Powiem państwu tymczasem - wtrąciła się Karen, by wybawić Nathana
z opresji - że Steven będzie podopiecznym siostry Holly Burton, którą
szczególnie interesuje ten rodzaj guza. Będzie na bieżąco informować państwa o
stanie syna oraz resztę personelu w przypadku konieczności zastosowania
konkretnych środków ostrożności.

- Na przykład zawieszę na jego łóżku ostrzeżenie, że niedozwolony jest
jakikolwiek ucisk na jamę brzuszną - oznajmiła Holly, uśmiechając się do
czterolatka, który niespodziewanie odwzajemnił jej uśmiech. - Jaki ty jesteś
słodki - zagadnęła, pochylając się nad nim.

Natychmiast jednak wyprostowała się, ratując przed małą rączką zegarek
przypięty do kieszonki fartucha.

- Zdaje się, że ten człowieczek nie da mi chwili spokoju.

Pogładziła go palcem po nosie, za co odplącił się jej promiennym
uśmiechem.

- Jakie mamy plany na dzisiaj? - dopytywał się Ted Collison. - Analizy i
badania?

- Wkrótce - powiedział Nathan. - Zrobimy mu echogram, żeby dokładnie poznać rozmiary guza, oraz usg, co pomoże nam rozpoznać poszczególne części, żebyśmy przed operacją wiedzieli, co nas czeka.

- Tata?

Dziecinny głosik rozległ się akurat w chwili, gdy rozmowa ucichła. Nathan natychmiast odwrócił głowę w jego kierunku. Karen zauważyła, jak bezbłędnie rozpoznał głos swojego dziecka wśród ogólnego szumu, jaki panował na oddziale.

Zobaczyła, że chłopczyk dłonią przywołuje ojca.

- Przepraszam, muszę państwa opuścić.

Nie uszło jej uwagi, z jakim trudem oderwał zaniepokojone spojrzenie od syna, by usprawiedliwić się przed rodziną Collisonów.

- Niech pan idzie, doktorze - powiedziała Louise Collison. - Wiemy już, co nas czeka, a poza tym zawsze możemy poprosić którąś z pielęgniarek, żeby nas z panem skontaktowała.

- Oczywiście. - Na jego twarzy malowało się roztargnienie. - Co więcej, przez cały dzień wpadam na oddział. Praktycznie nie oddalam się stąd.

Pan Collison odczekał, aż Nathan znajdzie się poza zasięgiem jego głosu, po czym zapytał, zniżając głos do szeptu:

- Siostro, czy ten chłopiec nazwał doktora Becketta tatą? - Gdy w oczach Karen wyczytał odpowiedź twierdzącą, na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia. - Boże! Jak on sobie radzi z cierpieniem własnego dziecka?! Nie wytrzymałbym takiego napięcia. Gdybym miał świadomość, że z mojej winy coś się nie udało...

- Patrząc na to z drugiej strony - zauważyła Karen - proszę sobie wyobrazić radość, jaką daje poczucie, że można opiekować się dzieckiem i poświęcić mu całą swoją uwagę.

- Mimo wszystko - westchnął - nie zazdroszczę mu.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Lepiej? - zapytała półgłosem Karen, przykładając wilgotny ręcznik do rozpalonego czoła Stevena. - Myślę, że trochę lepiej. Zobacz, mama przyniosła ci zajęczka.

Z radością spostrzegła, że twarzyczka chłopca pojaśniała na widok wymiętoszonej zabawki w rękach młodej kobiety.

- Już po wszystkim? - szepnęła Louise Collison. - Przepraszam, że zachowałam się jak prawdziwy mazgaj, ale nie mogę na to patrzeć.

- Płukanie żołądka jest po takiej operacji konieczne - wyjaśniła Karen. - Inaczej mogłoby dojść do komplikacji z powodu wzdęcia albo torsji.

- Ja nie mam żadnych pretensji. Wiem, że to jest nieodzowne - pospieszyła z wyjaśnieniem młoda matka. - Napatrzyłam się już w trakcie chemoterapii, przed operacją, ale od tego naprawdę robi mi się niedobrze.

- Zauważyłam - stwierdziła z uśmiechem Karen, zerkając na ukochanego królika, który już wylądował w objęciach chłopca.

- I dlatego wysłała mnie pani po Uszatka?! Dziękuję...

- Zaraz kończymy - zapewniła ją Karen, wpisując do karty Stevena objętość kroplówki zaleconą przez Nathana dla uzupełnienia elektrolitów. - Pod wpływem leków przeciwnowotworowych guz znacznie zmaleł, a Steven wspaniale zniósł operację. Doktor Beckett uważa, że niedługo przejdziemy na normalne jedzenie. I już nie będzie pani musiała szukać wymówek...

Wzięła z sobą przykryty pojemnik i ustąpiła miejsca matce Stevena.

- Operacja się udała, prawda? - Ton głosu Louise Collison kazał Karen zatrzymać się w pół drogi. Wyczuła w nim zrozumiały niepokój, mimo że matka starała się go ukryć przed dzieckiem. - Doktor Beckett wszystko nam już wytłumaczył. Poświęcił nam bardzo dużo czasu, ale...

- Martwi się pani tym, że zawracają mu państwo głowę, podczas gdy on ma tylu innych pacjentów? - domyśliła się Karen.

- No właśnie, siostrze - potaknęła zdumiona Louise Collison.

- Nie jestem jasnowidzem - wyjaśniła rozbawiona Karen. - Wszystkim rodzicom się tak wydaje. Uważają, że ich dziecko jest najważniejszym pacjentem na świecie, i nie są w stanie zrozumieć, że lekarz czuje podobnie.

- Tacy oni już są, prawda? - zadumała się pani Collison. - Oni rzeczywiście troszczą się o wszystkich pacjentów.

- Oczywiście - przytaknęła Karen. - Ale nasz doktor Beckett jest wyjątkowy.

Matka Stevena uśmiechnęła się. W tej samej chwili Karen poczuła, że oprócz nich ktoś jeszcze słyszał jej słowa.

- Mając taką opinię, nie mam prawa się pomylić. Mało brakowało, a Karen upuściłaby pojemnik. Zaczerwieniła się po uszy.

- Przepraszam, doktorze. Nie wiedziałam, że pan tu jest.

Omiatając spojrzeniem twarz lekarza, zauważyła isierki śmiechu w jego oczach.

- Podobno ci, co podsłuchują, nigdy nie słyszą o sobie dobrego słowa - zwrócił się do pani Collison.

- Chyba dobrze jest wiedzieć, co pielęgniarki myślą o panu - odparła.

- Tylko wtedy, kiedy mówią dobrze - odcięła się Karen. Nie chciała, by pomyślał, że się speszyła. - Doktor Beckett nie mógł przecież wiedzieć, co powiem.

- Zawsze wiadomo, co powie siostra March. Wszyscy na oddziale wiemy, że jeżeli nie ma nic dobrego do powiedzenia, milczy jak zaklęta.

Karen nie mogła ruszyć się z miejsca, chociaż paliły ją policzki. Stała, głucha na wszelkie odgłosy życia na oddziale, zahipnotyzowana obecnością tego mężczyzny.

- Przynajmniej - usłyszała z oddali głos Louise Collison - może mieć pan pewność, że siostra March zna się na ludziach, ponieważ ja i mój mąż całkowicie dzielimy jej opinię.

Karen zauważyła kątem oka, że Nathan Beckett drgnął, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co dzieje się między nimi.

- Wobec tego wszystkim dziękuję za komplement - rzekł półgłosem, lekko się czerwieniąc.

- Przepraszam - z trudem odezwała się Karen, spoglądając na pojemnik, o którym zupełnie zapomniała. - Muszę to wynieść...

Wymknęła się, nie kończąc zdania.

- Niech to diabli! - burczała, drżącymi rękami zmywając miskę.

Nareszcie jest sama. Jedna tylko osoba potrafiła doprowadzić ją do podobnego stanu - jej dawny narzeczony, Gareth Jenkins, ale nigdy aż do tego stopnia. Po raz pierwszy w jej życiu ktoś sprawił, że poza nim świat przestał dla niej istnieć.

Mimo wszystko na myśl o Garcie natychmiast oprzytomniała. To, co przeżyła przez tego człowieka, sprawiło, że przysięgła sobie już nigdy nie dać się zwieść gładkiemu obliczu i słodkim słówkom.

- Opanuj się - warknęła. - Nie masz powodu wpadać w egzaltację, To nie był komplement pod twoim adresem. Nathan po prostu zachował się szarmancko wobec matki Stevena...

Z podniesioną głową wróciła na oddział.

- Siostro...

Na dźwięk tego głosu, wbrew napomnieniu, jakiego udzieliła sobie zaledwie pół godziny wcześniej, ogromnym wysiłkiem woli przybrała opanowany wyraz twarzy.

- Słucham. - Czują, że unosi głowę i prostuje ramiona, jakby w ten sposób chciała dorównać wzrostem jego potężnej sylwetce.

Zauważyła, że jej beznamiętny ton nieco go zdziwił. Odezwał się równie rzeczowo:

- Siostra Clark prosi nas do siebie.

- Skontaktowała się z Fundacją? Powzięli już jakąś decyzję?

Nie potrafiła opanować entuzjazmu.

- Chodźmy. Zaraz wszystkiego się dowiemy - odparł spokojnie.

- Val, siostrzo Clark... Czy to dotyczy podróży Marka?

- Trzymaj. - Valerie Clark podała jej kubek. - Trzymaj i siadaj, zanim pęknie z ciekawości.

Karen mimochodem zerknęła na hasło: „Nie jestem stara. Jestem nastolatką z odzysku”. Parsknęła śmiechem.

- Skąd ty je bierzesz? - spytała, siadając w fotelu.

- Tom znosi je do domu w zastraszających ilościach - wyjaśniła Val, wskazując Nathanowi drugi fotel. - Czasami te napisy bywają złośliwe. - Pokazała im hasło na swoim kubku: „Nie jestem gruba. Jestem za niska do swojej wagi”. Urwała raptownie, przerażona tym, co zobaczyła na kubku Nathana.

- Aha! - Uśmiechnął się porozumiewawczo, po czym przeczytał motto na swoim kubku i zaczerwienił się.

Karen, zaintrygowana, spodziewała się je usłyszeć, lecz Val pośpiesznie przeszła do relacjonowania ostatnich wydarzeń.

- Po spotkaniu z wami działaczki z Fundacji przedstawiły waszą propozycję rodzicom Marka, a także rozmawiały z nim samym.

- Chciały się prawdopodobnie upewnić, czy rzeczywiście tak bardzo mu na tym zależy - wyraził przypuszczenie Nathan.

- Tak. Zdarzało się, że cała rodzina już się wyobrażała na takiej wycieczce i namawiano dziecko, żeby powiedziało, że marzy o dwutygodniowych wczasach na Bahamach zamiast o spotkaniu z bohaterem miejscowego klubu piłkarskiego. Tym razem jednak zarząd poparł waszą propozycję. Przed chwilą dostałam informację, że Fundacja już otrzymała potwierdzenie z biura podróży w sprawie dodatkowego przelotu i zakwaterowania, co znaczy, że Matthew też pojedzie.

- Fantastycznie! - wykrzyknęła Karen. - Czy chłopcy już o tym wiedzą? A rodzice Marka?

- Jeszcze nie. Dopiero co odebrałam ten telefon. Jeżeli macie ochotę, możecie razem opowiedzieć o tym Markowi i zawieźć go do rodziców, żeby podzielił się z nimi tą wiadomością.

- Wnoszę z tego, że Fundacja zapozna nas ze wszystkimi szczegółami.

Słowa Nathana zabrzmiały tak oficjalnie, że Karen poczuła wielką chęć, aby go uszczypnąć i zmusić do bardziej spontanicznej reakcji. Do tej pory w jej obecności roześmiał się tylko raz, znacznie częściej natomiast darzył uśmiechem swoich podopiecznych.

Czy on w ogóle nie przejął się tymi przygotowaniem? Co mogłoby rozbudzić w nim zapał?

Nagle wyobraziła go sobie ogarniętego falą podniecenia, z policzkami zaróżowionymi z innego powodu niż zabawny napis na kubku, włosami w nieładzie i oczami przymkniętymi z rozkoszy...

- Karen!

Niski głos nie wyrwał jej z marzeń, wręcz przeciwnie - wydał się jej nieodłączną ich częścią. Wyobrażała sobie, co mógłby mówić, kiedy pochylony nad nią zacząłby rozbudzać jej zmysły...

- Karen!

- Przepraszam. Trochę się... - Co można im powiedzieć? Właśnie wyobrażałam sobie, jak wygląda nasz onkolog, kiedy się z kimś kocha. - Słucham, o co pytałaś?

- Doktor Beckett pyta...

- Nathan, zapomniałaś? - upomniał ją. - Nathan pytał cię, czy masz ważny paszport.

- Ach, tak. Mam. Ważny dziesięć lat. Wyrobiłam go kilka lat temu.

Z bólem przypomniała sobie uczucie radości, jakie towarzyszyło jej, gdy wypełniała kwestionariusz i robiła sobie zdjęcia do paszportu. Stał przed jej

oczami Gareth, który oświadczył, że skoro są już zaręczeni, mogą razem pojechać na wakacje.

- Czy musimy mieć wizy fińskie? - rzuciła, odpędzając przykre wspomnienia.

- Nie - zapewniła ją Val.

- A co będzie z wymianą pieniędzy i innymi takimi sprawami?

- Wszystkim zajmie się Fundacja. Nawet transferami na i z lotniska.

- To znaczy, że nie pozostaje mi nic innego, jak przekonać siostrę Clark o konieczności wprowadzenia zmian w planie dyżurów tak, żebym miała kilka dni wolnych - rzuciła wyzywającym tonem.

- Za to ja mogę mieć z tym problemy - wtrącił Nathan.

- Zacząłem tu pracować wcześniej, niż było zaplanowane, i w związku z tym nie jestem pewien, jak wygląda moja sytuacja z urlopem. Zajmę się tym i zbadam, komu będzie trzeba trochę się podlizać.

- A propos! - włączyła się Valerie. - Czy wiadomo, co dzieje się z doktorem Firzalem? Ostatnie wiadomości mieliśmy, kiedy wypisywał się ze szpitala.

- Wraca do zdrowia - powiedział Nathan. - Byłem u niego niedawno. Wygląda teraz dużo młodziej niż podczas naszego pierwszego spotkania.

- Czy myślisz, że żałuje tej decyzji o przejściu na emeryturę? - zapytała Karen. - Wydaje mi się, że bardzo lubił tę pracę, a poza tym wszyscy za nim przepadali. Obawiam się, że taka nagła decyzja może odbić się katastrofalnie na jego samopoczuciu.

Nathan zamyślił się.

- Niewykluczone, że tęskni za szpitalem, ale też zdaje sobie sprawę, że rezygnacja była jedynym wyjściem. Przecież nie mógł się spodziewać, że szpital będzie czekał na jego powrót.

- A może... - Zawahała się, po czym wypaliła jednym tchem: - Może mógłby cię zastąpić podczas twojej nieobecności?

- Patrzcie państwo! - Valerie roześmiała się. - Dać jej szansę, to nam poustawia cały szpital!

- To wcale nie jest zły pomysł - zauważył Nathan.

- Na pewno byłoby mu przyjemnie, że zwracamy się do niego z taką prośbą. Poza tym nie miałby tu dużo roboty. Takich operacji jak nasze nie planuje się na okres świąteczny, żeby oszczędzić przykrych przeżyć pacjentom i ich rodzinom.

- Myślisz, że zgodzi się na to zastępstwo?

- Warto się tym zająć. On przecież zna tu wszystko od podszewki. Przed rozmową z Firzalem wpadnę do kadr i dowiem się, czy nie wywoła to jakichś prawnych komplikacji.

- Zamierzasz załatwić to, zanim powiemy chłopcom o wycieczce?

- Skądże znowu! To może poczekać. Chodźmy teraz do nich. - Wstał i odstawił kubek na tacę. - Chyba że miałaś nam do powiedzenia coś więcej? - zwrócił się do Valerie.

- Nie. Ja przekazałam wam dobrą wiadomość, reszta to już sprawa między wami i Fundacją.

- Racja. - Niecierpliwym krokiem ruszył do drzwi. - Chodźmy już do Marka i Matthew.

Karen sięgnęła po kubek, który stał na podłodze obok jej fotela.

- Zostaw. Ja posprzątam... - zaczęła Val, ale nie zdążyła dokończyć.

Karen już sięgała po jaskrawożółty kubek pozostawiony przez Nathana. Przeczytała nareszcie napis, który stał się przyczyną konsternacji tych dwojga.

- Val! Jak mogłaś mu to dać!?! - W jej głosie zabrzmiało oburzenie zmieszane z rozbawieniem. - „Maniacy seksualni piją z żółtych kubków” - przeczytała na głos.

- Przestań! - jęknęła Val. - Przypomniałam sobie, co tam jest, dopiero jak to zobaczyłam.

Tłumiąc śmiech, Karen ruszyła za Nathanem Beckettem.

Kiedy dotarła do łóżek obu chłopców, Nathan już siedział na łóżku syna. Obaj chłopcy bacznie ją obserwowali, gdy sadowiła się na łóżku Marka.

- Uwaga, chłopcy. Siostra March i ja otrzymaliśmy pewną wiadomość i doszliśmy do wniosku, że was też może ona interesować.

- O mamie i tacie? - zaniepokoił się Mark. - Dobrze się czują?

- Bardzo dobrze. - Opiekuńczym gestem objęła wątle ramionka. - Chociaż ta wiadomość nie dotyczy twoich rodziców, możesz się nią z nimi podzielić, jak już ci powiemy, o co chodzi.

- Jaka to wiadomość?

- Pamiętasz, jak napisałeś list, który rodzice wysłali do innego kraju? - zagadnął go Nathan.

Przez chwilę chłopiec patrzył na nich zdziwionym wzrokiem, po czym nagle przypomniał sobie to zdarzenie.

- Tak! Do Świętego Mikołaja! Że do niego przyjadę!

- Czy pomożesz Matthew napisać podobny list? Bo twoja wizyta dojdzie do skutku, zgodnie z obietnicą Fundacji Spełniania Życzeń, a Matthew pojedzie z tobą.

- Ojej! - sapnął Mark i oczy mu się zaokrągliły. - Matthew! Słyszałeś?! Zobaczmy Świętego Mikołaja i śnieg... i renifery... i sanie!

Chłopcy oszaleli z radości.

Gdy wieść się rozniosła, na oddziale zapanował nieopisany chaos. Wszystkie dzieci, które mogły chodzić, przyszły zamienić z chłopcami kilka słów, pozostałe wysyłały swoich ambasadorów, by wypytali o wszystkie szczegóły.

- Kiedy wyjeżdżacie? - zapytał chłopiec z obandażowaną głową. - Dzisiaj?

- Nie. Nie dzisiaj. Wyjeżdżamy... Tato, kiedy my jedziemy? - dopytywał się Matthew, który w niczym teraz nie przypominał dziecka udręczonego skutkami ubocznymi chemoterapii.

- Dopiero przed Bożym Narodzeniem. Będziemy na miejscu w pierwszy dzień świąt.

- Ty też jedziesz?

Matthew, podekscytowany, najwyraźniej nie wysłuchał do końca wszystkich szczegółów.

- Jasne. Ja też chcę zobaczyć Świętego Mikołaja!

Urażony ton Nathana rozbawił chłopców do tego stopnia, że upłynęło sporo czasu, nim na oddziale zapanował względny porządek i Mark mógł pojechać do rodziców, aby przekazać im radosną nowinę.

W ciągu minionych dni, które obfitowały w wizyty przedstawicieli Fundacji, Karen wielokrotnie wozila Marka to tu, to tam. Nić przyjaźni, jaka się między nimi nawiązała, dobrze wróżyła ich wspólnej podróży.

Personel dwóch oddziałów dla dorosłych dokonał pewnych zmian, aby ułatwić rodzicom Marka przyjmowanie gości oraz wzajemne widzenia.

Tego dnia, gdy zajęła tam z Markiem, doszło do bardzo wzruszających scen i Karen pospiesznie skorzystała z okazji, by zostawić na jakiś czas rodzinę Hopperów, aby mogli swobodnie porozmawiać.

- Siostro! - zawołał ją Mark chwilę później. - Czy może siostra tu przyjść?

Na każdym oddziale Karen informowała personel, co się dzieje. Tym razem wezwanie Marka kazało jej pospiesznie rozstać się z koleżanką.

- Masz nietęgą minę, skrzacie. Co cię trapi?

- Czy będę mógł zatelefonować do rodziców, żeby im wszystko opowiedzieć?

- Myślę, że tak. Poza tym będziesz robił zdjęcia, które potem wszystkim pokażesz.

Chłopiec wyraźnie się uspokoił, ale na jego twarzy malowało się zmęczenie wywołane całym tym zamieszaniem.

- Słuchaj, skrzacie. Pora pożegnać rodziców. Myślę, że Matthew się niecierpliwi. Chce usłyszeć, co powiedzieli.

Jeszcze dźwięczały jej w uszach podziękowania państwa Hooper za rolę, jaką odegrała w zorganizowaniu tej podróży, oraz obietnice ponownej wizyty Marka, gdy dotarli na swój oddział.

- Uff! - sapnął Nathan, przysiadając na łóżku syna, gdy Karen układała Marka. - Czuję się, jakby mnie tornado najpierw wytarosiło, a potem cisnęło mną o ziemię.

- Witamy na oddziale dziecięcym! - zażartowała Karen. - Mamy tu straszliwą huśtawkę emocji.

- Tato - zamruczał senny głosik. - Tak sobie myślę...

- O czym? - Nathan delikatnym ruchem gładził syna po głowie, wpatrując się w jego drobną twarzyczkę. Wzruszenie ścisnęło Karen za gardło.

- Jak ja mogę jechać do Świętego Mikołaja, jeżeli jestem na chemoterapii, w szpitalu?

Nathan z całą powagą potraktował pytanie syna.

- Tym się nie przejmuj. Skończysz kurację przed wyjazdem. Teraz myśl tylko o tym, co napiszesz w liście do Świętego Mikołaja.

Obaj chłopcy zasnęli, nim skończył mówić. Mimo to Karen nie odchodziła od ich łóżek, sama odczuwając potrzebę paru chwil spokoju po szalonym dniu na oddziale.

Nathan pochylił się, aby zgasić lampkę nad łóżkiem Matthew.

Patrzyła, jak się prostuje, nabiera powietrza w płuca, wzdycha i zmęczony odchyła do tyłu głowę.

- Dostałbym kawę? - szepnął.

Rzucił jej wymowne spojrzenie, ale ona tylko stłumiła śmiech.

- Który kubek wybierasz? - spytała półgłosem.

- Zobaczyłaś! Wydawało mi się, że postawiłem go w miarę dyskretnie, tak żeby siostra Clark nie miała powodu czuć się zażenowana.

- Właśnie dlatego musiałam sprawdzić, co tam jest napisane. - Zbliźali się do szyby, za którą znajdowała się dyżurka Valerie. - Teraz już nie dam jej spokoju!

- To niesprawiedliwe - mruknęła Louise Collison, pocieszając Stevena po kolejnym ataku torsji. - Tak dobrze zniósł operację, a mimo to znowu jest na lekach.

- Musimy mieć pewność, że nie pozostały żadne komórki nowotworowe, które mogłyby zacząć się rozmnażać - cierpliwie tłumaczyła Karen, sprzątajac nieporządek. - Po części właśnie temu należy przypisać tak wysoki wskaźnik przeżycia wśród pacjentów z guzem Wilmsa. Ta metoda całkowicie go likwiduje.

- Ale jakim kosztem! - użalała się młoda kobieta, spoglądając na swoje dziecko. - On jest jeszcze taki mały, a tyle już wycierpiał. Zaczęły mu już odrastać włoski...

- Już niedługo będzie pani wydawać majątek na fryzjera! - pocieszyła ją Karen. - I z trudem uda się pani utrzymać go choć przez chwilę w jednym miejscu!

- To prawda. - Matka uśmiechnęła się słabo. - Teraz jest taki spokojny, że aż się boję... Takie to do niego niepodobne. Za jakiś czas, kiedy będzie biegał jak szalony, trudno mi będzie uwierzyć, że to się naprawdę wydarzyło.

- Głowa do góry. Mają państwo już więcej niż pół drogi za sobą, a wszystko wskazuje na to, że znajdą się wśród tych, którym się udało.

Nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na sąsiadujące ze sobą łóżka Marka i Matthew.

Stan Marka znacznie się poprawił, odkąd chłopiec dowiedział się, że jednak pojedzie na wymarzoną wyprawę, i jakby czerpał nowe siły z zamieszania towarzyszącego przygotowaniom. Niestety, Karen wiedziała, że ta poprawa jest krótkotrwała, ponieważ ostatnie badania wykazały, że guz znowu się powiększył.

- Jakie to niesprawiedliwe - powtórzyła z goryczą słowa Louise Collison na wieść o wynikach badań Marka.

- Wydawało się, że podczas pierwszej operacji usunięto guz na tyle, że chemoterapia dokona już reszty. A jednak wkrótce się okazało, że guz dalej rośnie i konieczna jest druga operacja.

- Na tym polega zasadniczy problem z gwiazdziakami umiejscowionymi w tych partiach mózgu - zauważyła Valerie. - Oplatają je swoimi mackami i biedny chirurg musi podjąć ryzyko, że starając się usunąć całość jak najdokładniej, posunie się zbyt daleko i spowoduje nieodwracalne uszkodzenie mechanizmów kontrolnych.

- Wiem o tym - powiedziała udreńczonym głosem Karen. - Po prostu nie mogę patrzeć, jak te dzieci nikną w oczach, a ja mogę im tylko podawać środki przeciwbólowe i czekać na najgorsze.

- Zauważ, że są też jaśniejsze strony. Wszystkie podręczniki sprzed dziesięciu lat twierdzą stanowczo, że operacyjne usunięcie gwiazdziaka nie jest możliwe. Zwróć uwagę na postęp, jaki dokonał się przez ten czas w medycynie.

- Tomografia komputerowa i rezonans magnetyczny niewiele się przydały Markowi. Operowano go dwa razy, a on ciągle umiera.

- Ale gdybyśmy nie próbowali, już by nie żył - w dyżurce zabrzmiał głos Nathana. - Dzięki tym operacjom przeżył kolejne półtora roku. Każda operacja uczy chirurgów czegoś nowego i w ten sposób mogą pomóc następnemu pacjentowi i następnemu.

- Ale z tych osiemnastu miesięcy większą część zabrały mu chemoterapia, radioterapia i zabiegi - obstawała przy swoim Karen. - Czy można to nazwać życiem?

- Mimo to za kilka tygodni Mark będzie jeszcze żył i będzie mógł się spotkać z Mikołajem - przypomniał jej. - Cuda nie zdarzają się często. Korzyści trzeba mierzyć małymi krokami.

- Oj, bardzo was przepraszam. - Spuściła głowę. - Czasami wpadam w przygnębienie, kiedy nasze wysiłki nie przynoszą rezultatów. Chce mi się płakać, kiedy widzę skądinąd sprawnego siedmiolatka, który powoli umiera, a ja wiem, że nie mogę tego powstrzymać. Chyba nigdy nie pogodzę się z myślą o dzieciach skazanych na śmierć.

- I mimo to wybrałaś tę specjalizację?

- A na dodatek jest w tym świetna - wtrąciła Valerie, czym przyprawiła Karen o rumieniec. - Przewija się przez mój oddział mnóstwo praktykantek, ale mało która ma taki talent.

- Czy widać to od razu, czy przychodzi dopiero z czasem? - zastanawiał się Nathan.

- Trzeba to już mieć we krwi... To jest jakiś rodzaj empatii.

- Ty też tak uważasz? - zapytał Karen. - Czy dlatego wybrałaś pediatrię?

- Kierowało mną przeświadczenie, że dzieci cierpiące na choroby nowotworowe zostały skrzywdzone przez los. Tak od razu, na samym początku życia. Wydawało mi się... - Urwała, żeby skupić się na swoich odczuciach i zebrać myśli. - Po prostu wiedziałam, że muszę zrobić wszystko, żeby im pomóc. - Otwierając oczy zobaczyła, że Nathan się w nią wpatruje. - I dopóki mogę je choćby tylko uspokajać i przynosić im ulgę, będę to robić, bo tego potrzebują.

W dyżurce zapadła cisza, jakby miało wydarzyć się coś ważnego. Po chwili Nathan uśmiechnął się do Karen. Radość, jaka była z jego spojrzenia, ogarnęła ją swoim ciepłym niczym promienie słońca.

- Karen... - Jego niski głos przerwał w końcu to milczenie. - Cieszę się, że jesteś w moim zespole.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez kilka dni nie działo się nic nadzwyczajnego.

Swój wolny dzień Karen przeznaczyła na wyprawę do sklepu sportowego. Korzystając z wyprzedaży, kupiła kilka swetrów i ciepłą bieliznę, która wydała się jej niezbędna w Finlandii, gdzie spodziewała się tęgich mrozów.

- Chyba nie powiesz, że to jest seksowna bielizna! - parsknęła Valerie. - Wszystkiego może się odechcieć!

- Ważne, żeby było mi ciepło. Nie interesuje mnie, jak będę w tym wyglądać - odcięła się Karen. - Nie mam zamiaru marznąć!

- Nie bierzesz niczego wytwornego? - dociekała Valerie. - Przecież jedziesz w towarzystwie takiego fantastycznego faceta...

- Na pewno nie interesuje go, ile odcieni siności potrafię przybrać, jak zrobi mi się za zimno - burknęła Karen.

- Naprawdę, Val. Jedziemy tam z umierającymi dziećmiakami spełnić ich prawdopodobnie ostatnie życzenie i nawet nam na myśl nie przyjdzie paradować przed sobą w fantazyjnej bieliźnie.

- Tere-fere! - burknęła Val. - Każdy wie, jak on wygląda w garniturze, nietrudno więc sobie wyobrazić, jak wygląda bez niego. Marnujesz taką okazję?!

- Val! - oburzyła się Karen.

Bała się, że koleżanka domyśli się, iż przyczyną tego oburzenia nie jest bynajmniej jej uwaga, lecz niepokojący dreszcz, który ją, Karen, przeszył na myśl o nagim ciele Nathana.

- Wiem, że nie uganasz się za lekarzami jak inne pielęgniarki, ale tym razem mogłabyś zrobić wyjątek - kusiała Val. - Taka szansa może ci się już więcej nie przydarzyć...

Karen zbyła tę uwagę milczeniem, ponieważ nie chciała, by wyszło na jaw, że po raz pierwszy, odkąd Gareth potraktował ją tak okrutnie, jakiś

mężczyzna zaprzętnął jej uwagę. A także to, jak on wygląda bez garnituru i krawata.

Nieco później, kiedy Nathan zjawił się w dyżurce, Karen drżała i modliła się, by Val nie powróciła do tematu, lecz skończyło się jedynie na wzmiance o zakupach.

- Czy pomyśleliście o ubraniach dla chłopców? - zagadnęła siostra przełożona. - Zeszłoroczne kurtki na pewno będą na nich za małe.

- Nie przyszło mi to do głowy - zmieszał się Nathan.

- Przyznam się wam, że nie umiem nic kupić dla Matthew, jeżeli on najpierw tego nie przymierzy.

- A Mark? Czy jego rodzice zdążyli kupić mu cokolwiek, zanim wylądowali w szpitalu? - zauważyła Karen.

- Może powinnam ich o to zapytać?

- Doskonały pomysł - przyznał Nathan. - Jeśli okaże się, że czegoś mu brakuje, to czy mogę ci podrzucić listę rzeczy dla Matthew? - zapytał z nadzieją w głosie.

Chciała zaprotestować przeciwko takiemu bezczelnemu zwalaniu obowiązków na jej barki, lecz po chwili namysłu zrezygnowała z tego zamiaru. Zorientowała się bowiem, że błagalny ton Nathana nie jest podstępem. Bezradność tego zazwyczaj zorganizowanego, zdecydowanego mężczyzny oraz odkrycie, że i on czasami potrzebuje czyjejs pomocy, ukazały go jej w nowym świetle.

- Znasz wymiary Matthew? - spytała zasadniczym tonem, próbując ukryć wzruszenie.

- Jakie wymiary? - zaniepokoił się, spuszczać wzrok i lekko się czerwieniąc.

- Nieważne. - Uśmiechnęła się do niego wyrozumiale. - Znajdźcie mi centymetr, a sama ich pomierzę.

Podczas rozmowy z rodzicami Marka okazało się, że obaj chłopcy potrzebują nowych ubrań. Państwo Hooper pragnęli zrobić synkowi niespodziankę, i skompletować jego zimową garderobę przed samym wyjazdem.

- Trzeba im kupić ciepłą bieliznę i grube swetry, ponieważ obaj są zbyt słabi, żeby rozgrzewać się bieganiem - oznajmiła Karen podczas następnej rozmowy z Nathanem. - Organizatorzy wycieczki zafundowali wszystkim uczestnikom ciepłe kombinezony i buty.

Nathan przebiegł wzrokiem listę, którą mu podała.

- Gdzie jest ten sklep, o którym mówiłaś? Jesteś pewna, że to wszystko tam będzie? I w tych rozmiarach?

- Oddaj mi ją - jęknęła. - Zrobię te zakupy sama.

- Nie. Jakoś sobie poradzę. Wy tłumacz mi tylko, gdzie jest ten sklep. Przecież potrafię przeczytać, co jest na liście.

- Jesteś pewien? - Nie kryła niedowierzania. - Przeczytaj ją jeszcze raz i powiedz, co jest niejasne... Oprócz mojego pisma.

- Nie widzę tu niczego trudnego, zwłaszcza że obaj noszą prawie takie same rozmiary. Jedno mnie niepokoi. Jeśli ubierzemy ich w identyczne ubrania, to czy będą zadowoleni?

- Wybierz rzeczy w dwu kolorach - zasugerowała.

- Jakich?

- Wszystko jedno. Takich, jakie będą w sklepie.

- Skąd będę wiedział, który kolor dla którego chłopca?

- Ach, mężczyźni! - Westchnęła zrezygnowana i odebrała mu listę. - Spotkajmy się jutro o dziewiątej, przed sklepem. Oczywiście, jeżeli masz czas.

- Nie mam pojęcia. - Zmęczonym gestem przetarł twarz. - Poproszę sekretarkę, żeby do ciebie zadzwoniła, gdyby się okazało, że nie mogę. Ona ma mój rozkład zajęć i, jeżeli zajdzie konieczność, umówi nas na kiedy indziej.

- Pamiętaj tylko, że teraz wszyscy tam kupują i jeśli wykupią to, czego szukamy, w innym sklepie będzie dwa razy drożej.

- Tak, masz rację - zgodził się potulnie.

Z tonu jego głosu wynikało, że taka komplikacja nie przyszła mu do głowy. Rozbawiło to Karen. Jak długo Nathan sam opiekuje się synem i kto im załatwiał zakupy, nim ona pojawiła się w ich życiu?

- No, pospiesz się - mruknęła, podskakując na jednej nodze w rytm muzyki dobiegającej z wnętrza sklepu, aby nieco się rozgrzać.

Ostry wiatr najwyraźniej upodobał sobie ten fragment ulicy. Mimo to Karen nie chciała czekać w sklepie, skoro umówiła się z Nathanem na zewnątrz.

Stała tam tak długo, że przechodzący obok mężczyźni zaczęli rzucać jej dziwne spojrzenia...

Kiedy wyjątkowo złośliwy podmuch wiatru niemal zerwał jej z głowy włóczkową czapkę, pomyślała, że da Nathanowi jeszcze tylko pięć minut, a potem pójdzie do najbliższej kafejki, żeby odtajać.

- To ty, Karen?

Stała jak wryta, słysząc znajomy głos.

- Gdzie ty...? - Urwała, lustrując go bacznie spod puszystego brzegu czapki. Niepewność ustąpiła miejsca zdumieniu. - Nathan?

Czuła, że na widok jego odmiennego wyglądu oczy robią jej się okrągłe. Czy to był ten sam elegancki mężczyzna, który zawsze, od kiedy go zna, przemierzał szpitalne sale w nieskazitelnie wyprasowanym fartuchu?

Człowiek, na którego patrzyła, miał na sobie jasnobezowy blezer i ciemnoniebieską koszulę, która podkreślała kolor jego oczu, oraz obcisłe dżinsy.

Przez chwilę w milczeniu przyglądali się sobie nawzajem, jakby nie wierzyli własnym oczom. W końcu jednak, rozbawieni sytuacją, wybuchnęli śmiechem w tym samym momencie.

- Wyglądasz tak...

- Nie poznałem cię...

- Zdaje się, że oboje stoimy tu i czekamy od jakiegoś już czasu - zauważyła cierpko.

- Czekając na siostrę March, obserwowałem pewną wściekłą damę, która podskakiwała w rytm muzyki, żeby nie zamarznąć, ponieważ jakiś wstrętny facet nie liczy się z jej czasem.

- A ja właśnie wypatrywałam cenionego onkologa, kiedy zaczepił mnie jakiś burak w spranych dżinsach - powiedziała i ugryzła się w język.

Jego serdeczny śmiech odbił się echem od wystawowych szyb. Oburącz naciągnęła czapkę na uszy, żeby ukryć rumieniec wstydu.

- Burak?! Jeszcze nikt mnie tak nie nazwał!

- Strasznie przepraszam - zaczęła się tłumaczyć, przeklinając swój brak rozwagi, lecz odmienny wygląd Nathana zaskoczył ją tak bardzo, że nie zdążyła pozbierać myśli. - Nie chciałam...

- Nie psuj zabawy! Bawi mnie taka nowość... zwłaszcza w moim wieku!

- Przestań, matuzalemie! - odcięła się, ruszając w kierunku wejścia. -

Róbmy te zakupy, bo nam zamkną sklep.

Weszli do środka, gdzie natychmiast zaatakował ich przeraźliwy łoskot.

Ktoś chwycił Karen za ramię. Obejrzawszy się, ujrzała zdumione oczy Nathana.

- O matko! - jęknął jej prosto do ucha.

Przez czapkę poczuła jego ciepły oddech. W sklepie panował taki hałas, że nie chcąc krzyczeć, musiał pochylić się tuż nad nią.

- To ma przyciągnąć kupujących! - zawołała.

- Długo tu będziemy?

Ściągnął brwi w bolesnym grymasie, gdy wraz z kolejnym utworem włączono rytmicznie mrugające oświetlenie.

- Mam nadzieję, że nie. - Wskazała dział z odzieżą dziecięcą.

Właśnie skreślili ostatni punkt na liście ubrań dla chłopców, gdy w drugim końcu sklepu rozległ się krzyk. Kupujący z niepokojem spoglądali w tamtą stronę.

W pierwszej chwili Karen pomyślała, że był to jakiś młodzieńczy wybryk, lecz wyraz twarzy innych kupujących kazał jej zmienić zdanie.

- Nathan...

Chciała chwycić go za rękę, lecz on już szedł w kierunku niewielkiego zbiegowiska między dwoma rzędami półek.

- Przepraszam! - Przepychał się przez tłum gapiów.

- Gdzie jest kierownik? - spytał podniesionym głosem.

- Proszę to wyłączyć! Natychmiast!

- Ej, co się rzadzisz? - warknął chłopak, którego Nathan odepchnął, torując sobie drogę.

- Jestem lekarzem! Proszę mnie przepuścić!

Ludzie rozstąpili się. Karen zobaczyła to, czego najbardziej się obawiała: na podłodze leżał chłopiec targany konwulsjami.

- Ołówek! - Polecenie któregoś z gapiów rozległo się w ciszy, jaka zapanowała po wyłączeniu głośników. - Trzeba mu włożyć ołówek między zęby.

- Nie! - Nathan już klęczał obok chłopca. - Nie wolno go ruszać! Trzeba odsunąć te półki, żeby zrobić mu więcej miejsca.

Karen szła za nim przez szpaler gapiów. Znalazła się przy leżącym akurat w momencie, gdy Nathan przystąpił do oględzin.

- Ktoś go zna? - zapytała spokojnym tonem, omiatając spojrzeniem ciekawskich. Dwaj chłopcy, mniej więcej w tym samym wieku, pokiwali głowami. - Wy? - Po chwili zwróciła się do pozostałych. - Proszę zająć się zakupami. Jemu potrzebny jest spokój.

Rozległy się pomruki, szuranie butami i zawstydzona publiczność powoli zaczęła się rozchodzić.

- Czy wasz kolega bierze jakieś leki? - zwróciła się Karen do chłopców. - Widzieliście już taki atak?

- Nie - odpowiedział wyższy niepewnym głosem. - Andy jeszcze nigdy nie zrobił czegoś takiego.

- A jak się czuł dzisiaj rano, kiedy się spotkaliście? Nie narzekał, że na przykład boli go głowa?

- Nie. Był całkiem normalny. Dopiero jak tu przyszliśmy, to upadł.

- Może zażył coś, czego nie wolno zażywać? Może jakiś narkotyk? - rzucił pod ich adresem Nathan, nie speszony tym, że przed nimi klęczy.

- Na pewno nie! - odparł ze złością niższy. - Nas to nie interesuje! Narkotyki źle robią na głowę.

- Masz rację. Widzieliście, jak to się stało? Jak Andy upadał?

Wymienili między sobą pytające spojrzenia i przecząco pokręcili głowami.

- Szkoda. Potrzebuję waszej pomocy. - Nathan zmienił taktykę. - Dowiedzcie się, czy ktoś już wezwał karetkę. Jeżeli tak, to niech jeden z was stanie przy drzwiach do sklepu i pokaże sanitariuszom, gdzie jest wasz kolega.

Karen odczekała, aż chłopcy znikną za rzędami półek.

- Jaki jest jego stan? - Przykucnęła obok Nathana, stawiając obok siebie koszyk pełen chłopięcych ubrań.

- Wychodzi z fazy klonicznej. Nie widzę żadnych obrażeń fizycznych, oprócz tego, że upadając, przegryzł sobie język. Chyba nie uderzył się o żadną z półek, a na podłodze jest wykładzina. Nie stwierdziłem też usztywnienia karku typowego dla zapalenia opon mózgowych ani śladów igły. Nie znalazłem przy nim żadnego zaświadczenia, że jest chory na padaczkę.

- Co może być przyczyną ataku?

Pomogła mu położyć chłopca na boku, po czym wyjęła z torebki chusteczkę, którą Nathan otarł mu twarz.

- W tej chwili, nie mając bardziej szczegółowych danych, przypisałbym go głośnej muzyce i tym cholernym, błyskającym reflektorem. - Obrzucił nieprzyjaznym spojrzeniem aparaturę zawieszoną pod sufitem. - Nie mam nic

przeciwko temu, żeby były w dyskotekach... Można tam nie chodzić. Ale to już jest przesada! Żeby nie można było wejść do sklepu bez ryzyka ataku... - Urwał, widząc nadchodzących sanitariuszy.

- Dzień dobry. Co jest temu chłopcu?

Nathan podniósł wzrok. Jednocześnie Karen zauważyła, że zaczął gładzić dłoń chłopca, który zareagował na dźwięk nowego głosu.

- Ma na imię Andy. Przyszedł tu z dwoma kolegami po zakupy i dostał ataku. Wyszedł już z fazy klonicznej. Nie stwierdziłem żadnych obrażeń oprócz przegryzionego języka.

- Czy miał już takie ataki? - zapytał sanitariusz, stawiając torbę na podłodze i sięgając po nosze, które przyniósł jego towarzysz. - Taka rzeczowa ocena sytuacji każe mi się domyślać, że Andy jest pańskim synem.

- Nie. To nie jest mój syn. Przyszedł tu po zakupy, jak wielu innych.

- Ale... - zaczął speszony sanitariusz.

- Jestem pediatrą - poinformował go Nathan z uśmiechem. Twarz sanitariusza rozpogodziła się.

- Wiedział, kiedy dostać tego ataku - skomentował drugi mężczyzna. - Nie wszyscy mogą liczyć na natychmiastową, fachową pomoc na miejscu wypadku.

Koledzy Andy'ego przyglądali się z boku, jak sanitariusze układają go na noszach. Widząc ich zmartwione twarze, Karen przysunęła się bliżej.

- Czy będziemy mogli odprowadzić go do domu, jak już go zbadają w szpitalu? - zapytał ten mniejszy. - Jego rodzice niczego się wtedy nie dowiedzą.

- Rodzice muszą wiedzieć, co się stało - odparła nieco zdziwiona. -

Lekarz ze szpitala musi ich poinformować, co mają zrobić, gdyby taki atak się powtórzył.

- A nie mówiłem... - jęknął drugi chłopiec. - Mówiłem ci, że tak będzie.

Karen przyglądała im się uważnie.

- Odnoszę wrażenie, że mieliście być gdzie indziej. W szkole, prawda?

Chłopcy wymienili znaczące spojrzenia, lecz nim zdobyli się na odpowiedź, Karen już ją знаła.

- Nasza pani jest chora, a my mieliśmy iść przed lunchem na zajęcia sportowe z inną klasą.

- Więc postanowiliście zamiast tego zrobić świąteczne zakupy i wrócić do szkoły na lunch i pozostałe lekcje?

- Mhm. Ale teraz już nie zdążymy. Rodzice i nauczyciele się wściekną, że w taką pogodę nie chcieliśmy odmrażać sobie d... Przepraszam.

Karen popatrzyła na nosze. Nathan mówił coś cicho do Andy'ego.

- Chcecie jechać z nim do szpitala? - zapytała.

- A możemy?!

- Chyba da się to jakoś załatwić. - Podeszła do sanitariuszy. - Macie jakiś sprzęt, który trzeba zanieść do karetki? - Uśmiechnęła się, czując, że chłopcy niespokojnie drepczą tuż za jej plecami. - Mam tu dwóch chętnych do pomocy. Marzą, żeby coś zrobić dla swojego kolegi.

Kilka minut później ambulans wyruszył do szpitala. Karen od drzwi żegnała wzrokiem dwie rozpromienione twarze chłopców zasłuchanych w wyjaśnienia sanitariusza.

- Wracajmy do naszych zakupów - odezwał się Nathan i poprowadził ją w głąb sklepu. - Masz koszyk?

- Zostawiłam u kasjerki. Obiecała go popilnować. Byli już blisko kasy, gdy nagle włączono migające reflektory i wyjące głośniki.

- Niebywałe! - warknął Nathan. W kilku susach dopadł uśmiechniętą dziewczynę. - Chcę rozmawiać z szefem! - oznajmił spokojnym, aczkolwiek podniesionym głosem.

Wystarczyło jedno jego spojrzenie, by kasjerka pospiesznie udała się na poszukiwanie kierownika.

- Czy mogę w czymś pomóc? - odezwał się chudy młodzian, wyciągając rękę po wyładowany ubraniami koszyk Karen.

- Na pewno - odparł Nathan, przytrzymując koszyk. - Przede wszystkim proszę ściszyć ten łoskot, żebym nie musiał go przekrzykiwać.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się blado. - Zaraz to policzymy... - Ponownie sięgnął po ich zakupy.

- Zdaje się, że pan mnie nie zrozumiał. Prosiłem, żeby przyciszył pan ten łoskot, chyba że chce pan, żeby cały sklep usłyszał, jak na całe gardło będę krzyczał, co o tym myślę.

Młody człowiek zdumiony zamrugał powiekami i zaczerwienił się po korzonki włosów.

- A przy okazji niech pan wyłączy również te cholerne światła - dorzucił Nathan.

Jego życzenie rozległo się w całym sklepie, nagle pograżonym w ciszy.

- Oczywiście, proszę pana - wycedził młody człowiek przez zęby, tłumiąc wściekłość. - Czym mogę służyć?

- Chciałem zapytać - zaczął Nathan uprzejmym tonem - czy był pan w sklepie pół godziny temu?

- Tak, jestem tu od wpół do dziewiątej.

- To znaczy, że musiał pan słyszeć o chłopcu, który dostał tu ataku, i o tym, że przed chwilą karetka odwiozła go do szpitala.

- Oczywiście. To ja zadzwoniłem na pogotowie.

- Dziękuję. Zadziałał pan bardzo sprawnie. Niestety, podejrzewam, że jest pan odpowiedzialny także za to, że trzeba było je wzywać.

- Co takiego?! Ja tego chłopaka nawet nie widziałem!

- Być może - zgodził się Nathan. - Ale to pan nastawił muzykę tak przeraźliwie głośno i włączył te światła, prawda?

- Tak, ale...

Karen kątem oka dostrzegła otyłego mężczyznę, który stanął poza zasięgiem wzroku młodzieńca i z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie.

- Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że taki hałas w połączeniu z błyskającymi światłami może być przyczyną takich ataków jak ten, którego dostał Andy? Szczęście, że chłopak nie umarł.

Karen uspokajającym gestem położyła rękę na dłoni swojego towarzysza.

- Niech pan nie zapomina - wtrąciła - że sprzedają państwo odzież najwyższej jakości i po wysokich cenach, a to znaczy, że płacą za nią dorośli, nawet jeżeli wyboru dokonują dzieci.

- To prawda - przytaknął Nathan.

- Czy nie przyszło panu do głowy, że taka piekielnie głośna muzyka może mieć wpływ na wasze obroty?

- Obawiam się - odezwał się nagle otyły mężczyzna - że jest to jedna z przyczyn, dla której zyski mamy tak niskie, że zostałem zmuszony do likwidacji sklepu.

- Pan Adler! - Młody człowiek zbladł. - Nie wiedziałem, że pan tu jest.

- Nie ma w tym nic dziwnego - odrzekł, po czym zwrócił się do Karen i Nathana. - Przejeżdżałem tędy i zobaczyłem przed sklepem karetkę. Proszę mi opowiedzieć, co się tutaj działo.

- Zapraszam cię na kawę - zaproponował Nathan, przekładając do drugiej ręki ciężką torbę wypchaną zakupami. - Zasłużyliśmy na nią.

- Świetny pomysł. Dziękuję.

Zerknęła na zegarek. Do dyżuru zostało jej bardzo dużo czasu.

Idąc za Nathanem, z radością pomyślała, że ich wspólna wyprawa jeszcze nie dobiegła końca. Wspaniale czuła się w jego towarzystwie pomimo dramatycznych przygód.

- Może byś coś zjadła? - zasugerował, gdy stanęli z tacą przed długą ladą.
- Pora na lunch. Poza tym uniknęłabyś dzisiaj szpitalnego bufetu i moglibyśmy tutaj porozmawiać o podróży.

Potraktowała to zaproszenie jako idealny pretekst, by spędzić z nim jeszcze jakiś czas. Bez większych zastrzeżeń przyjęła wszystkie jego argumenty.

Usiedli przy stoliku w rogu sali, stawiając pakunki na trzecim, wolnym krześle, i zabrali się do wyjątkowo smacznego *lasagne* z sałatą.

- Tego mi brakowało - oświadczył Nathan.

- Zakupy bywają wyczerpujące. Najbardziej męczy to podejmowanie decyzji - powiedziała z całą powagą.

- No wiesz! - prychnął. - Nie myśl sobie, że te torby są takie lekkie.

- Sam chciałeś je nosić.

- Odruch dżentelmena.

- Już rozumiem, dlaczego jesteś taki skonany. To przez ten dżentelmeński odruch!

- Lepiej zajmij się jedzeniem i nie gadaj tyle.

- Nie mielibyśmy takich ciężarów, gdybyś nie postanowił wygłosić w sklepie tego przemówienia.

- Kto by to za mnie zrobił? - bronił się. - To czysty przypadek, że szef zjawił się akurat wtedy, kiedy tłumaczyłem temu szczawikowi, co myślę o tym jazgocie i błyskach.

- W końcu zrozumie, że twoje krytyczne uwagi pomogą mu zwiększyć zyski ze sprzedaży. Właściciel dał mu tę szansę, ale pod warunkiem, że bez muzyki i świateł.

Karen popatrzyła na stos paczek i z radością pomyślała o różnych rzeczach, które sprezentował im właściciel w podziękę za ich niezwykłą interwencję.

- Myślę, że Mark i Matthew ucieszą się z tych ubrań - powiedziała. - To dziwne, że w dzisiejszych czasach dzieci tak bardzo zwracają uwagę na stroje. Kiedy byłam w ich wieku, najważniejsze było dla mnie to, żeby coś się działo, a nie to, co mam na sobie.

- A było to strasznie dawno temu - zażartował z błyskiem w oczach. - Przecież ty masz najwyżej dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata...

- Dwadzieścia siedem - poprawiła go, nie podnosząc wzroku znad talerza.
- Nie zostałam pielęgniarką zaraz po szkole.

- Dlaczego? Nie wiedziałaś, co chcesz robić?

Pytania te zabrzmiały całkiem naturalnie, lecz Karen już wcześniej zdążyła się zorientować, jak funkcjonuje umysł Nathana i wiedziała, że nader rzadko zadaje pytania wyłącznie przez grzeczność.

- Wiedziałam, co chcę robić, ale uniemożliwiły mi to... sprawy rodzinne.

Zamyślił się nad jej odpowiedzią. Aby przerwać nieprzyjemne milczenie, Karen wbrew sobie podjęła temat.

- Przez półtora roku uczyłam się w Charing Cross. Potem matka dostała wylewu, więc musiałam zrezygnować z nauki, żeby zająć się nią i ojcem.

- To przykre... - powiedział łagodnym tonem. - Przynajmniej na coś ci się przydała ta szkoła pielęgniarska.

- Byłam na studiach lekarskich - odparła obojętnie. Bolesne wspomnienie konieczności zrezygnowania z tego marzenia nappełniło ją rozgoryczeniem.

- Nie było sposobu, żebyś na nowo podjęła naukę?

- Ojciec się temu sprzeciwił. - Podniosła wzrok, spodziewając się ujrzeć w jego oczach... Czego się spodziewała? Litości z powodu utraconych marzeń? Nagany, że nie znalazła sposobu, by je zrealizować?

Było w nich zrozumienie, że na pewne sprawy nie mamy wpływu. Wezbrała w niej wdzięczność za to, że nareszcie znalazła kogoś, komu może o tym opowiedzieć. Gareth ani myślał wysłuchiwać jej żalów.

- Zażądał, żebyś przerwała studia?

- Tak. Uważał, że jako córka mam obowiązek zająć się nimi.

- W jakim stanie była matka?

- Była sparaliżowana, nie panowała nad potrzebami fizjologicznymi i tylko bełkotała.

- Trudna sprawa.

- Szczególnie wtedy, gdy chory wymaga opieki przez całą dobę.

Nie chciała tych wspomnień.

- Co takiego? Chyba ktoś ci pomagał?

- Za taką pomoc trzeba słono płacić. Córka nie bierze ustalonych stawek.

Można w ogóle nie dawać jej pieniędzy poza jakąś kwotą na domowe wydatki.

Nathan milczał.

- A po jej śmierci? Czy to wtedy zostałaś pielęgniarką?

- Nie. Kiedy umarła, skończyły się nocne dyżury, ale dalej musiałam prowadzić dom dla ojca - do czasu, kiedy wprowadziła się do nas jego kochanka, która potem, gdy wpisał jej dane do różnych dokumentów: do hipoteki czy w banku, wszystko mu zabrała. - Podniosła wzrok znad papierowej serwetki, którą nerwowo skubała. - Myślę, że odebrał sobie życie ze wstydu.

Już nie czuła potrzeby mówienia. Powiedziała mu tyle, ile nikomu innemu do tej pory.

- Przez cały czas, kiedy ty zajmowałaś się matką i domem, ten człowiek trwonił swój czas i pieniądze dla innej kobiety?

- Gdybym o tym wiedziała, wyprowadziłabym się, a on musiałby zatrudnić gosposię. Ale ja liczyłam, że dotrzyma obietnicy. Pomagał mi finansowo podczas studiów. Dawał mi pieniądze na te wydatki, których nie pokrywały stypendia. Obiecał, że jeżeli będę opiekować się matką, to po powrocie na studia będzie nadal mi pomagał. A kiedy przyszło do realizacji obietnic... - Wzruszyła ramionami.

- Nie miałaś nikogo, do kogo mogłabyś zwrócić się o pomoc? Krewnych? Przyjaciół?

- Zaręczyłam się tuż przed tym, jak mama dostała wylewu. Narzeczonemu nie podobało się, że ojciec kazał mi wrócić do domu. W dniu, w którym mama umarła, przysłał mi list z prośbą o zwrot pierścionka.

- Świnia - mruknął Nathan.

- To był zbieg okoliczności - wyjaśniła. - Poznał jakąś inną dziewczynę i jej chciał go dać... Inną studentkę medycyny, która miała podobne ambicje.

- Wprost brak mi słów. Tym bardziej że mam wielką ochotę odszukać tego drania i dać mu w pysk. Żalony typ!

Ten wybuch niespodziewanie rozbawił Karen.

- Dzięki! - Uśmiechnęła się. - Po raz pierwszy nie odczuwam złości. Sama myśl, że ktoś chce mnie wyręczyć... - Rozpogodziła się. - To, że mnie rzucił, nie wyszło mu na dobre. - W jej głosie brzmiała nuta złośliwej satysfakcji. - Kilka miesięcy później dziewczyna go rzuciła dla jakiejś lepszej partii i nie oddała mu pierścionka!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy skończyli już straszliwie tuczący deser i wypili drugą kawę, była pora iść na dyżur.

- Wracasz najpierw do domu? - zapytał. - Mógłbym cię podwieźć, a potem razem pojechalibyśmy do szpitala.

- Nie trzeba. Dziękuję - odparła z uśmiechem. - Mam w szafce czysty fartuch. Muszę tylko uważać, żeby się nie ubrudził podczas dyżuru, bo to jest mój jedyny zapas.

- Co my zrobimy z tymi zakupami? - jęknął, wydobywając spod stołu jedną z paczek, która zsunęła się z krzesła na podłogę. - Masz jakieś miejsce w szpitalu czy lepiej zamknąć je w bagażniku?

- Trzeba by je trochę poukładać - zauważyła w drodze na parking. - Torby z rzeczami chłopców weźmy do szpitala, żeby je im pokazać, a nasze zabierzemy potem do domu.

- Dobrze. Ty się tym zajmij. - Otworzył bagażnik i poustawiał torby. - Zrób z tym jakiś porządek i jedziemy.

Z powodu korków na ulicach dotarli na szpitalny parking zaledwie dziesięć minut przed czasem. Karen, obciążona dwiema torbami, zerknęła na zegarek, podczas gdy Nathan zamykał samochód.

- Daj mi to i idź się przebrać. Przyniosę je do ciebie za godzinę, jak już ułożysz sobie pracę, i wtedy pokażemy je chłopcom.

- Jesteś pewien? Trochę to nie w porządku zostawiać cię z tymi...

- Lekarze mają większą swobodę ruchów - odparł, odbierając od niej bagaże. - Pędź już.

- Dzięki. Na razie - rzuciła przez ramię, ruszając w stronę wejścia. Serce jej uradowało się na obietnicę ponownego spotkania. Uśmiechnięta weszła na oddział.

- Jak mam rozumieć to, że wysiadłaś z samochodu doktora Becketta z ogromnymi zakupami? - zagadnęła ją Holly Burton. - Od kiedy wy się tak przyjaźnicie? Nie dotarły do mnie żadne plotki na ten temat.

- O czym rozmawiacie? - dopytywała się Valerie. - Czyżbym czegoś nie zauważyła?

- Karen ma jakieś konszachty z naszym boskim Nathanem - palnęła Holly, uśmiechając się szelmowsko. - Szłam właśnie na dyżur i przypadkiem widziałam, jak wysiadła z jego samochodu, a potem on wziął od niej torby z zakupami.

- Te „konszachty” z doktorem Beckettem sprowadzają się do tego, że musieliśmy kupić zimowe rzeczy dla Marka i Matthew - broniła się Karen, wiedząc, że jeżeli natychmiast wszystkiego nie wyjaśni, cały szpital błyskawicznie zatrząśnie się od plotek. - Za godzinę doktor Beckett przyniesie te torby na oddział, żeby pokazać chłopcom ich nowe ubrania.

- Aha - mruknęła Holly z niedowierzaniem. - Kupowaliście ubrania dla chłopców! Teraz już rozumiem, dlaczego uśmiechałaś się jak kocur, który opił się śmietanki.

- Nie gadaj głupot! - zachnęła się Karen. - Po prostu biegłam przez parking, żeby zdążyć się przebrać.

- Pierwszy raz widziałam, żeby ktoś był tak szczęśliwy, pędząc do pracy - nie ustępowała Holly.

- Z kamienia łez nie wyciśniesz, dziecko. Jeżeli Karen postanowi zrobić z czegoś tajemnicę, nikt jej tego nie wydrze. Poczekajmy - wtrąciła się Valerie z porozumiewawczym uśmiechem na ustach. - Czas pokaże.

- Kiedy siostra Clark sięga po mądrości narodu - jęknęła Karen - lepiej zejść jej z oczu.

- Tak jest, siostrzo March. Odmeldowujemy się. Udały się na obchód oddziału, by zdążyć przed pojawieniem się wózków z kolacją.

Nathan zjawił się dopiero w połowie dyżuru Karen. Wcześniej zdołał jedynie przekazać swojemu synowi wiadomość, że nie zdąży odwiedzić go przed ciszą nocną. Dzięki szpitalnej poczcie pantoflowej Karen dowiedziała się, że przyczyną spóźnienia są komplikacje w sali operacyjnej.

- Pst!

Podniosła wzrok znad sterty kart, które właśnie kończyła wypełniać, lecz nie zauważyła, by to któryś z pacjentów starał się przyciągnąć jej uwagę. Na pograżonym w półmroku oddziale wszystkie dzieci już spały.

- Pst!

Tym razem zorientowała się, że dźwięk ten dochodzi od strony drzwi na oddział.

- Wszyscy śpią? - rozległ się w mroku znajomy, niski głos.

- Owszem, wszyscy ci, którzy nie dostali zawału - odpowiedziała półgłosem. Nathan wyłonił się zza kotary. - Co ty wyprawiasz?

- Przyniosłem torby z ubraniami dla chłopaków, ale nie chciałem, żeby je zobaczyli, bo z wrażenia pewnie nie mogliby zasnąć.

- Niezły pomysł. Ale Matthew i tak był rozczarowany, że do niego nie przyszedłeś.

- Trudno. - Przeczesał dłonią włosy. - Liczyłem, że ten pokaz mody pozwoli mi spędzić z nim dzisiaj więcej czasu, ale nic z tego nie wyszło.

- Zniósł to wyjątkowo dobrze. Powiedział, że należy mu się od ciebie jakieś zadośćuczynienie.

Jego rysy złagodniały.

- To taka nasza gra - wyjaśnił. - Teraz na pewno coś wymyśli.

- Na przykład co? - zainteresowała się.

- No, na przykład to, że pozwolę mu wygrać w grę komputerową albo namówi mnie, żebym tu przeschmuglował kawałek pizzy, albo coś w tym stylu.

- Nie brzmi to jak jakaś straszna kara. - Parsknęła, tłumiąc śmiech, żeby nie zbudzić śpiących pacjentów. - Zdaje się, że taka kara cieszy was obu w takim samym stopniu.

- Kto ci powiedział, że tylko kobiety mają monopol na dobre pomysły? - rzucił wyzywającym tonem. - Gdzie mam postawić te ich torby? Czy można je gdzieś zamknąć do jutra?

- A gdzie one teraz są?

- W kącie, przy drzwiach wejściowych.

- Zastąp mnie tu przez chwilę, to pójdę schować je do mojej szafki. Będą tam bezpieczne do jutrzejszego dyżuru. Rozejrzę się jeszcze, czy w pokoju Val nie ma kawy.

W drodze powrotnej na oddział ujrzała Nathana w przyćmionym świetle nocnej lampki nad łóżkiem syna. Wpatrywał się w drobną postać pod szpitalnym kocem. Przeszła dalej, by nie zakłócić mu tej intymnej chwili. Weszła do dyżurki ze ściśniętym gardłem.

Elektryczny czajnik właśnie się wyłączył, więc zalała neskę w dwóch kubkach i dodała odrobinę mleka.

Przenosząc je na biurko, z ulgą zauważyła, że tym razem nie ma na nich kompromitujących napisów.

- Mam nadzieję, że jeden z nich jest dla mnie - rzucił Nathan, wchodząc do pokoju. - Chciałem popatrzeć na Matthew, zanim woda się zagotuje.

- Zagotowała się akurat wtedy, kiedy tu weszłam.

- Wszystko się zmieściło? - spytał i usiadł wygodnie w fotelu.

- Ledwo, ledwo. Te nasze szafki są niewielkie, a torby były nieźle wypchane.

- Będziemy wyglądali jak ten grubas Michelina - skomentował z grymasem na twarzy.

- Nie szkodzi, będzie nas czworo. Poza tym niektórzy z nas są tacy wysocy, że będą wyglądali całkiem nieźle, podczas gdy reszta będzie poruszała się z gracją słoni morskich.

Roześmiał się. Przez jakiś czas w milczeniu pili kawę.

- Dobrze mi to zrobiło - mruknął, wychylając kubek do dna. - Nie tylko kawa, ale i towarzystwo. Twoja obecność działa kojąco.

Wymienili spojrzenia.

- Miło mi to usłyszeć - odparła, odzyskując głos. - Niedługo, przez kilka dni, będziemy sami w towarzystwie dwóch oszalałych ze szczęścia chłopców i byłoby strasznie, gdybyśmy działali sobie na nerwy.

- Pewnie masz rację, ale jestem przekonany, że zrobilibyśmy wszystko, żeby oni byli zadowoleni.

Żeby chłopcy byli zadowoleni.

Zdanie to prześladowało ją coraz częściej, w miarę jak zbliżał się dzień wyjazdu. Prześladowało ją niezależnie od tego, co robiła: w szpitalu i po godzinach pracy...

Ono też zwiększyło jej radość na widok uszczęśliwionych twarzy Matthew i Marka, gdy pokazano im nowe ubrania. Dziękowali jej także państwo Hooper, którzy byli wdzięczni za to, że tak bardzo starała się uatrakcyjnić ostatnie Boże Narodzenie ich syna. Zaczęło nawet nawiedzać jej sny.

Pojęła, co się stało, dopiero gdy w czeluściach szafy szukała swej podróźnej torby.

- Gdzie jest ta cholerna torba? - mruczała pod nosem, grzebiąc w różnych paczkach, których do tej pory nie rozpakowała.

Po części dlatego, że nie miała na nie miejsca w tym malutkim mieszkanku.

- Po co ja to trzymam? - Przyglądała się samotnej rękawiczce, po czym, wzruszając ramionami, rzuciła ją do kosza na śmieci, który stał za drzwiami sypialni. - Ciekawe, co ja tu jeszcze znajdę? O...

Przykucnęła na widok najnowszego znaleziska.

Fotografia Garetha.

Myślała, że wszystkie jego zdjęcia zniszczyła już dawno temu, lecz okazało się, że podświadomie zachowała tę jedną pamiątkę.

Spoglądały na nią jego ciemne oczy. Kiedyś wydawało się jej, że iskierka widoczna w jego spojrzeniu świadczy o tym, że łączy ich jakaś wspólna tajemnica, że jest ona dowodem jakiejś szczególnej więzi, która między nimi powstała... Kiedyś wystarczyło jej popatrzeć na jego zdjęcie, by ogarnęła ją rozpacz z powodu straty, by zalała się łzami... A teraz nic!

Po raz pierwszy ujrzała na tej ongiś kochanej twarzy wyraz małego samozadowolenia. Nie da się ukryć: Gareth był przystojny... i wiedział o tym. Ale teraz patrzyła na niego bez żalu. Uśmiechnęła się do swych myśli, ciesząc się, że wyszła z tego jedynie z chwilowo pokiereszowanym sercem.

Jak to się stało, że wcześniej tego nie zauważyła? Ile to już czasu upłynęło, od kiedy zerwał zaręczyny i oznajmił, że ma kogoś innego? Czy aż tak bardzo pogrążyła się w swoim nieszczęściu, że nie zauważyła, iż rany już dawno się zabiłiły? A może kryje się za tym coś innego? Ktoś inny?

Podniosła się powoli i podeszła do kosza na śmieci. Beznamiętnym wzrokiem patrzyła, jak zdjęcie opada na kupkę zużytych chusteczek i wacików.

Po raz pierwszy od kilku tygodni obudziła się wyspana i pełna nadziei... jakby miało wydarzyć się coś nadzwyczajnego.

Mimo że zawsze lubiła swoją pracę, tego dnia nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się w szpitalu.

- Coś ty taka szczęśliwa? - zagadnął ją salowy, robiąc do niej oko. - Wygrałaś na loterii? Jeżeli nie wiesz, na co wydać pieniądze, to zgłoś się do mnie.

- Nie wątpię, że masz mnóstwo pomysłów, ale niestety brakuje mi forsy na ich realizację - odparła i przytrzymała drzwi, aby mógł przejechać wózkiem.

- Stąd wniosek, że dalej muszę szukać tej zamożnej kobiety, która będzie utrzymywała mnie w takim luksusie, do jakiego zamierzam przywyknąć - żartował, ustawiając wózek pod ścianą, po czym wszedł do dyżurki.

- Kto dzisiaj będzie jeździł? - zapytała Karen.

- Nowy nabytek. Petra Agnelli. Na ultrasonografię - czytała Valerie z karty dziewczynki. - Trzy lata. Podejrzenie guza macicy.

- To straszne. - Karen poczuła, że robi się jej słabo. - Teoretycznie jest to możliwe, ale nigdy nie spotkałam się z guzem macicy w tak wczesnym wieku. Rodzice muszą być zrozpaczeni.

- Jeszcze go nie potwierdzono. Na razie jest to jedna z możliwości na liście podejrzanych.

- Kto z nią jedzie? Mama?

- I babcia. Dowiedz się, czy Holly może im towarzyszyć. Uczyła się włoskiego, więc może im tłumaczyć kolejne etapy badania. Razem wrócą na oddział.

Wyniki wstępnych badań Petry okazały się na tyle niepokojące, że Nathan postanowił natychmiast porozmawiać z rodziną dziewczynki, by wyjaśnić im następne kroki.

- Jakie wiadomości? - Karen zapytała Valerie, gdy ta wróciła po spotkaniu do dyżurki. Czekala tam w nadziei ujżenia Nathana, lecz poszedł już gdzie indziej.

- Dobre i złe. - Val usiadła przy biurku. - Definitywnie stwierdzono obecność jakiegoś guza, ale nie zauważono, żeby się rozprzestrzeniał na inne układy.

- Co postanowiono? Biopsja?

- Tak. Doktor Beckett poszedł sprawdzić, kiedy będzie miał czas dla Petry. - Podniosła wzrok, widząc nadchodzącą Holly. - Świetnie się spisałaś, Holly. Doktor Beckett z uznaniem opowiadał o tym, jak zachowałaś zimną krew, kiedy starsza pani się rozpląkała.

- Biedna babcia... Pierwszy raz było ją stać na podróż z Włoch, żeby zobaczyć wnuczkę, a tu się dowiaduje, że dziewczynka może być chora na raka.

Karen spostrzegła, że Holly ma lekko zaczerwienione oczy, mimo to praktykantka trzymała się dzielnie.

- Przejdiesz na naszym oddziale prawdziwy chrzest bojowy - zauważyła Karen. - A może masz już dosyć pediatrii?

- O, nie - oświadczyła Holly. - Wręcz przeciwnie. - Uniosła wysoko głowę. - Co będzie, jeśli doktor Beckett zabierze ją do sali operacyjnej?

- Dokona biopsji w znieczuleniu ogólnym, po czym pobrana tkanka błyskawicznie powędruje do laboratorium. W zależności od wyniku zadecyduje, jakie będą następne kroki.

- Petra będzie przez ten czas leżała w znieczuleniu na stole operacyjnym?

- Tak. W ten sposób nie będzie potrzebne ponowne znieczulanie, gdyby zaszła konieczność chirurgicznego usunięcia macicy.

- To znaczy, że to się może skończyć całkowitą histerektomią w wieku trzech lat? - zapytała Holly.

- Wszystko zależy od wyników.

- Nie ma innego sposobu? - Holly mówiła coraz ciszej.

- To przecież nieodwracalny zabieg.

- Jeżeli tylko w ten sposób można uratować jej życie...

- Karen wiedziała, że nie musi kończyć tego zdania.

- Ale jeszcze nie było biopsji, więc mogę za nią trzymać kciuki - oznajmiła zdecydowanym tonem Holly.

- Pod warunkiem, że potrafisz pogodzić się z myślą, że ta metoda bywa zawodna - powiedziała do siebie Karen, gdy Holly wyszła do swych zajęć.

- Karen? - Głos Valerie wyrwał ją z zamyślenia. - Dzwonił doktor Beckett. Trzeba przygotować Petrę Agnelli do zabiegu. Pojedzie na salę operacyjną jako ostatnia w dniu dzisiejszym.

- Znowu dobre i złe wieści.

- Wiem, co myślisz. Z jednej strony dobrze się składa, że rodzina nie będzie długo czekać na diagnozę, z drugiej źle, ponieważ pośpiech Becketta wskazuje, że sprawa jest poważna. - Wstając zza biurka, Valerie oburącz oparła się o blat biurka. - Do dzieła!

Karen zbierała się już do domu, kiedy za drzwiami jednej z toalet usłyszała tłumiony płacz.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytała półgłosem, domyślając się, kto tam jest i dlaczego płacze.

- Nic mi nie jest, dzięki - odpowiedział jej markotny głos. - Poradzę sobie.

- Wiedziałam, że to ty - powiedziała Karen na widok Holly, która wyłoniła się z kabiny. - Jesteś pewna, że już ci przeszło?

- Chyba tak. - Dziewczyna pochyliła się nad umywalką, żeby obmyć twarz. Sięgnęła po papierowy ręcznik.

- Jak ty sobie z tym radzisz? - zapytała drżącym głosem.

- Czy ty też płakałaś na początku, czy to tylko ja tak się mażę?

- Zdarza mi się płakać nawet teraz, szczególnie wtedy, kiedy to jest któryś z moich ulubieńców. Ale już się nauczyłam płakać dopiero po powrocie do domu.

Ubierały się w milczeniu. Karen nieco się ociągała, czując, że Holly jeszcze przez chwilę potrzebuje czyjś towarzystwa.

- Biedna kruszynka - szepnęła Holly. - Wzięła do szpitala swoją ulubioną lalkę i przytulała ją, czekając na znieczulenie. Już nigdy nie będzie mogła mieć własnych dzieci...

- Holly, musisz nauczyć się nie myśleć o takich rzeczach. - Karen objęła praktykantkę. - Jej rodzicami zajmie się psycholog, tak że już wkrótce będą w stanie powiedzieć Petrze, że jeżeli zapragnie mieć rodzinę, będzie mogła dzieci adoptować.

- Przecież to nie to samo. To nie będą jej dzieci - upierała się Holly.

- Zależy, jak na to popatrzysz. Przyznam ci się, że dla mnie matką jest kobieta, która dziecko wychowała, a nie ta, która tylko wydała je na świat. Jeżeli komuś uda się jedno i drugie, może sobie tylko pogratulować.

- Ale...

- Zgadzam się z tobą, że to jest tragedia. - Karen nie pozwoliła jej dojść do słowa. - Myślę, że kiedyś Petra doceni tego lekarza, który w porę wysłał ją do nas i w ten sposób uratował jej życie. Dzięki temu będzie miała szansę dokonać własnego wyboru.

- Masz rację. - Holly wytarła nos. - Zachowałam się wyjątkowo nieprofesjonalnie.

- To nie ma nic wspólnego z brakiem profesjonalizmu; to jest dobry znak i znaczy, że jesteś wrażliwa - zapewniła ją Karen. - A teraz posłuchaj mojej rady: jedź prosto do domu, weź gorącą kąpiel, zjedz coś ciepłego i wypij kubek gorącej czekolady przed snem. Rzeczywistość przez to nic się nie zmieni, ale jak się dobrze wyśpisz, będziesz miała siłę stawić jej czoło.

- Dzięki. Musiałam się przed kimś wygadać.

- Wiem. Wszystkie to przerabialiśmy. - Uśmiechnęła się gorzko. - A teraz marsz do domu!

Stała przed lustrem i dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. A przecież rano obudziła się pełna entuzjazmu, przekonana, że wydarzy się coś szczególnego, związanego z Nathanem.

Na wspomnienie wyrazu jego twarzy, kiedy przyszedł poinformować matkę i babcię Petry o tym, co ją czeka, musiała oburącz oprzeć się o krawędź umywalki. Nathan cierpiał, jakby chodziło o jego własną córkę.

Ze ściśniętym sercem przypomniała sobie, jak bardzo chciała go wtedy objąć, dzielić z nim tę rozpacz. Zrobiłaby to na pewno, gdyby go kochała...

Odskoczyła od lustra. Wcale nie jest zakochana w Nathanie! Nie może być w nim zakochana, ponieważ wkrótce mają razem wyjechać. Cztery dni w jego towarzystwie! Jak ona sobie poradzi?!

Usilnie szukała wyjścia z tej niezręcznej sytuacji, wiedząc jednocześnie, że jest już za późno, by mogła się wycofać. Sprawiałaby chłopcom ogromny zawód.

Oddychała głęboko, żeby się opanować. W końcu zdobyła się na ostateczne wyznanie: nie wycofa się, ponieważ nie chce stracić okazji przebywania z Nathanem przez te cztery dni. Chce z nim podróżować, rozmawiać, opiekować się jego synem...

Odzyskawszy spokój, wyszła na korytarz.

- Już chciałem kogoś tam posłać - usłyszała tuż za sobą.

Odwróciła się gwałtownie, z poczuciem winy, jakby Nathan był w stanie podsłuchiwać jej myśli.

- To ty! - Uśmiechnęła się szeroko na widok mężczyzny, który opierał się o ścianę. - Dlaczego chciałeś kogoś tam wysłać?

- Nie mogę tu sterczeć godzinami bez narażania swojej opinii na szwank!

- Wariat! Wcale nie miałam tego na myśli! - Serce zabiło jej mocniej i całe zmęczenie zniknęło w jednej chwili. - Na co tu czekasz?

- Przez cały dzień chciałem się z tobą zobaczyć. Nabrał powietrza w płuca i oderwał się od ściany. Karen poczuła się niepewnie.

- Petra...? - zaczęła. - Jest na intensywnej terapii i jej papiery jeszcze do mnie nie dotarły. W jakim jest stanie?

- Czy ci wystarczy, że powiem: „W takim, jak należało się spodziewać”?

Gestem zaprosił ją, by mu towarzyszyła.

- Jak to zniosłeś?

- Marnie. - W jego głosie wyczuła gniew. - Czasami nienawidzę roli Boga, który decyduje o życiu pacjentów. Tego braku pewności, czy nie zostawiłem zbyt wielu komórek i nowotwór się odrodzi, czy też może usunąłem za dużo tkanki i na zawsze ograniczyłem wydolność organizmu tej istoty. - Chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie. - Tam nie ma przerywanych linii z informacją: „Dotąd i ani kawałka dalej” - rzucił jej w twarz oskarżycielskim tonem.

Spokojnie wytrzymała jego twarde spojrzenie, czując, że nie zdaje sobie sprawy z tego, jak mocno ściska jej ramię.

- Już nie pamiętam, kto powiedział - zaczęła - że wprawdzie medycyna jest nauką, ale nikt nie zalicza jej do nauk ścisłych.

Po chwili milczenia rozluźnił uścisk i ukrył twarz w dłoniach.

- Przepraszam - westchnął. - Wiem, że zrobiłem, co należało, żeby ją uratować, ale miałem taką chwilę, kiedy myślałem, że może wystarczy usunąć szyjkę, żeby ocalić macicę, a jednak...

Urwał, a Karen zaczęła się zastanawiać, czy nie posunęła się za daleko, czy nie była zbyt bezpośrednia.

- Dziękuję - szepnął. - Czasami potrzebuję kogoś, kto pomoże mi nabrać odpowiedniego dystansu. - Uśmiechnął się smętnie. - Wyjdźmy już stąd. Pomyślałby kto, że nie możemy z tym miejscem się rozstać!

- Czy miałeś do mnie jakąś konkretną sprawę? - zapytała, gdy wyszli na dwór.

- Słucham?

- Podobno miałeś mi coś do powiedzenia - przypomniała mu. - Czy to ma związek z pracą?

- A! - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Nie. Miałem ci powiedzieć, że to już przyszło.

Podał jej kopertę z biletami oraz program ich wizyty w Laponii.

- Życzę ci, Marku, żeby udała się wam ta bajkowa podróż. - Pani Hooper z trudem ukrywała wzruszenie. - Żałuję bardzo, że nie możemy z tobą pojechać.

- Ja też - bąknął chłopiec. - Ale Matthew powiedział, że święta nie będą czekały, aż wyzdrowiejecie.

- Miał rację - przyznał pan Hooper. - Nie jestem pewien, czy Mikołaj wie, na co przystał, zapraszając was obu...

- Tato, przestań!

- Mam wrażenie, że we dwójkę jakoś sobie z nimi poradzimy - wtrącił Nathan. - Jeżeli będą niezdolni, postraszymy ich, że będą jedli z reniferami!

- Możemy jeść z reniferami? - Błyszczące oczy Matthew wpatrywały się w Nathana. - Tato, naprawdę będziemy mogli jeść z reniferami?

Dorośli tylko jęknęli.

- To miała być kara, a nie obietnica wspaniałej uczy - burknął Nathan, starając się ukryć uśmiech.

- Jeżeli już wszyscy się pożegnali - rozległ się głos jednego z pracowników Fundacji - to zapraszam państwa do taksówki. Bagaze są zapakowane.

- Nie zapomnij wysłać nam kartki z poczty Świętego Mikołaja - upomniał ojciec Marka na odchodnym.

- I rób zdjęcia, żeby nam wszystko pokazać, jak wrócisz - szepnęła mu do ucha matka, poprawiając nową czapkę. - Pamiętaj, że cię kochamy.

- Ja też was kocham - odpowiedział, rzucając się jej na szyję.

- Powóz czeka - oznajmiła Karen, przystawiając fotel na kółkach.

- I żadnych wyścigów wózkami po korytarzach! - Oddziałowa pogroziła palcem Karen i Nathanowi. Gdy rozradowani chłopcy wyjeżdżali na korytarz, zawołała za nimi:

- Nie zapomnijcie popatrzeć na to okno, zanim wsiądziecie do taksówki. Będzie niespodzianka!

- Czy ty wiesz, o co jej chodzi? - zapytała Karen półgłosem.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszył ramionami. - Ale dzięki temu udało się nam wyjść bez powodzi łez.

Wyjechali wózkami na parking, aby chłopcy mogli popatrzeć na okna oddziału, na którym leżeli rodzice Marka. Zdumiona czwórka ujrzała wielki transparent zawieszony pod oknami.

- Zobacz! - szepnął Matthew.

- „Pozdrówcie od nas Świętego Mikołaja!” - sylabizował Mark.

Tym razem to Karen poczuła, że do oczu napływają jej łzy wzruszenia na widok niezliczonych twarzy we wszystkich oknach i lasu rąk, które zegnały się z chłopcami.

Wydawać by się mogło, że co najmniej połowa szpitala życzy im udanej podróży.

- Wiedziałaś o tym? - Nathan unikał jej wzroku.

- Nie, ale strasznie mi się to podoba.

Uśmiechnęła się niewyraźnie. Spostrzegła jednocześnie, że i Nathan z trudem panuje nad uczuciami.

- Machamy ostatni raz i odjeżdżamy! - oświadczył podejrzenie stanowczym tonem. - Bo spóźnimy się na samolot.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Śnieg! - wykrzyknęli unisono uradowani chłopcy, gdy samolot wylądował na lotnisku w Rovaniemi. - Pada śnieg! Prawdziwy!

Podczas lotu zachowywali się bardzo grzecznie. Przez dwie i pół godziny w powietrzu oglądali film i poznali smak samolotowego posiłku, lecz największą atrakcją była bez wątpienia wizyta w kabinie pilota.

Gdy samolot kołował na pasie po wylądowaniu, przez niewielkie okienka, za zasłoną wirujących, srebrzystych płatków ujrzeli światła terminalu. Efekt ten dodatkowo podkreślały tumany śniegu, unoszące się w powietrzu za sprawą samolotowych silników.

- Jak w tej śnieżnej zabawce, którą dostałem rok temu pod choinkę! - powiedział Mark. - Kiedy się nią potrząśnie, śnieg się unosi, a potem opada na taki mały domek.

Stewardesa przypomniała pasażerom, by zabrali wszystkie bagaże spod foteli i z półek.

Najpierw wysiadali chłopcy, jako niepełnosprawni.

- No, który pierwszy? - zagadnął Nathan, prostując się w przejściu.

- Mogę ja? - prosił Mark, szarpiąc się z pasem.

- Dobra. Hop! - Nathan wziął go na ręce i podał stewardowi, który zajmował się nimi podczas lotu.

- Czy ty pożarłeś słonia? - zażartował młody człowiek, niosąc Marka do wyjścia. - Kiedy wsiadałeś, byłeś o wiele lżejszy...

- Teraz ty, Matthew. Odepniemy pas...

Przez ten czas Karen sprawdzała, czy niczego nie zostawili.

Gdy zeszli po schodkach, Mark już siedział w swoim fotelu. W chwilę później cała czwórka podążała ośnieżoną płytą do jasno oświetlonego budynku. Po drodze obaj chłopcy chwyтали płatki śniegu.

Wszyscy błyskawicznie przebrali się w kombinezony i ciepłe buty, po czym wsiedli do autokaru, który miał ich dowieźć do miejsca przeznaczenia.

- Kiedy pójdziemy do Świętego Mikołaja? - szepnął Matthew do Karen. - Czy on dostał mój list? Jak ty myślisz? I czy on wie, że już przyjechaliśmy?

- Na pewno wszystko już wie - odparła Karen. - Patrz! Prawdziwa mikołajowa pogoda, prawda?

- Czy my go zobaczymy już dzisiaj? - dopytywał się Mark.

- Nie wiem. - Karen zapomniała, jak wygląda program ich pobytu. - Myślę, że w taką pogodę nie zaprzęga się reniferów. Stoją sobie teraz w ciepłej i suchej stajni, a Święty Mikołaj czyta listy, które do niego przyszły.

Poczuła się bardzo niepewnie, kiedy zorientowała się, że Nathan uważnie przysłuchuje się jej opowiastkom, lecz jego uśmiech rozwiał wszystkie jej wątpliwości.

Mark i Matthew zadowolili się oglądaniem krajobrazu. Od czasu do czasu jedynie dziwili się bardzo takiej ilości śniegu.

Autokar niespodziewanie zatrzymał się w szczerym polu.

- Jesteśmy na miejscu?

- Co się stało?

Gwar ustał, gdy w autokarze rozległ się głos pilotki.

- Proszę popatrzeć w lewo. Przed samochodem przechodzi właśnie stadko łośi - powiedziała świetną angielszczyzną.

Karen zerknęła na swoich podopiecznych, by zobaczyć w ich oczach zdumienie na widok tych olbrzymich zwierząt, które majestatycznym krokiem sunęły w stronę kępy drzew.

- Jak państwo widzą, są to zwierzęta bardzo duże, z ogromnym porożem. A ponieważ w Finlandii objęte są ochroną, więc warto przystanąć i pozwolić im przejść...

Podróżni wybuchnęli śmiechem i autokar ruszył w dalszą drogę. Wkrótce wjechał do wioski i zatrzymał się przed budynkiem, w którym mieściła się recepcja hotelu.

Mark i Matthew wszędzie mieli pierwszeństwo, więc w okamgnieniu cała czwórka szła już do swojego miejsca zakwaterowania. Po drodze chłopcy wystawili języki i chwyтали na nie płatki śniegu.

- Ojej!

- Tato, zobacz! Drewniana chatka!

Zatrzymali się przed niewielkim drewnianym domkiem, przykrytym czapą śniegu.

Nad drzwiami paliła się lampa, rzucając na śnieg powitalny krąg światła.

Personel hotelu pomógł im wnieść wózki i bagaże do przytulnego, ciepłego wnętrza.

- Zachęcający widok. - Nathan podszedł do kamiennego kominka, w którym już trząsał ogień, i zaczął się rozbierać.

Mark i Matthew wiercili się niespokojnie, gdy Karen usiłowała zdjąć z nich ciepłe okrycia. Chcieli natychmiast obejrzyć cały domek.

- Już wiemy, gdzie jest toaleta i prysznic! Jest też taki dziwny pokój z półkami! - przekrzykiwali się po chwili.

Karen z uśmiechem słuchała objaśnień i komentarzy na temat kolejnych odkryć. Przez ten czas zdjęła kombinezon i powiesiła go na drewnianym kołku wbitym w ścianę.

Obejrzała starannie pokój, podziwiając proste ozdoby i sprytne wykorzystanie każdego kawałka przestrzeni.

Ściany i sufit były wyłącznie z bali, podłoga natomiast z zapastowanych sosnowych desek, w strategicznych miejscach przykrytych barwnymi chodniczkami.

Nagle zorientowała się, że Nathan wpatruje się w przeciwległą ścianę.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona. - Co tam...? Ooo!

- Właśnie - mruknął.

Oboje z przerażeniem wpatrywali się w piętrowe łóżka pod ścianą.

W pierwszej chwili Karen pomyślała, że to kanapy. Teraz jednak zobaczyła dwa wąskie łóżka wysoko nad podłogą, tuż pod sufitem, i dwa szerokie łoża niżej, przykryte narzutami w jaskrawy, czerwono-zielony, bożonarodzeniowy deseń.

Zaschło jej w gardle.

- Rozumiem, że znajdujemy się w salonie, który na noc zmienia się w sypialnię - zauważyła sucho.

- Najwyraźniej. - Nathan był wyraźnie speszony. - Mam zadzwonić do recepcji i zapytać, czy można nas przenieść do normalnego hotelu? Zdaje się, że tego się nie spodziewałaś.

- Hura! Piętrowe łóżka! - ucieszył się Mark, wracając z wyprawy. - Marzyłem, żeby spać na takim łóżku!

- Ja też! - zawtórował mu Matthew. - Jest też telewizor. Czy oni tu mają zagraniczne programy?

- Zajmijcie się tym i sami sprawdźcie - zaproponował Nathan, obrzucając ich szybkim spojrzeniem. - Musimy się tu chwilę rozejrzeć, a potem pójdziemy do głównego budynku.

Również uwagi Karen nie uszło podniecenie chłopców, kiedy siadali na pieńkach ustawionych przed kominkiem.

Kiedy chłopcy zajęli się przełączaniem kanałów, Nathan poprowadził Karen do malutkiej kuchenki.

- Przykro mi, ale obawiam się, że musimy tu zostać - zaczął.

- Nie możemy teraz przenosić się do głównego budynku - przyznała mu rację. - Bardzo im się tu podoba.

- Ale co ty zrobisz? Trudno oczekiwać, że będziesz dzieliła sypialnię z trzema mężczyznami. Chcesz, żebym się dowiedział, czy nie znajdzie się dla ciebie jakiś osobny pokój?

- Nie po to przecież przyjechaliśmy tu we dwoje - zauważyła. - Musiałbyś mieć dwie pary rąk, żeby obsłużyć chłopców, zwłaszcza w obcym miejscu. I takich rozbrykanych...

- Niewątpliwie masz rację. Gdyby któryś z nich poczuł się źle w środku nocy, jedna osoba nie wystarczy. Zanim by wezwała pomoc, upłynęłoby sporo czasu.

- Nie ma powodu, żeby nie dało się tego jakoś urządzić - ciągnęła, odsuwając od siebie przeróżne sceny, które jawiły się jej w wyobraźni. - Jest tu wprawdzie ciasno, ale każdy ma swoje łóżko. Możemy ustalić kolejność zajmowania łazienki...

Odwróciła się pośpiesznie i zaczęła zwijać kolorowe chodniczki, żeby nie przeszkadzały chłopcom, poruszającym się na wózkach. Naprawdę jednak chciała ukryć rumieńce.

Poczuła, że jeżeli jeszcze chwilę będzie patrzeć na Nathana, wyobrażając sobie jego ciało pod prysznicem lub tylko wyciągnięte na sąsiednim łóżku, wszystko wyjdzie na jaw.

- Jesteś pewna? Musiała na niego popatrzeć.

- Nie martw się. Oboje jesteśmy profesjonalistami i myślę, że zdajemy sobie sprawę z tego, że dobro chłopców jest ważniejsze niż nasze obawy przed krępującymi sytuacjami.

Milczał, wpatrując się w nią, jakby chciał poznać jej myśli. W końcu wyprostował się i zerknął na zegarek.

- Tutaj jest dwie godziny później niż w Londynie, prawda? - Przystawiał wskazówki zegarka. - Myślę, że już możemy zacząć się szykować do wyjścia na kolację.

Gdy kończyli się ubierać, za oknami rozległ się dźwięk dzwonków. Ktoś zapukał do drzwi.

Matthew, który pierwszy dopadł klamki, w ostatniej chwili pytająco spojrzął na ojca, po czym otworzył drzwi na oścież.

- Mark, szybko! Chodź! Zobacz!

Karen zdezorientowana popatrzyła na Nathana, który tylko tajemniczo się uśmiechnął.

- Sanie! Prawdziwe sanie! - Mark z trudem łapał oddech. Oczy miał okrągłe.

- Zdaje się, że na kolację pojedziemy saniami - zauważył Nathan poważnie. - Są chętni?

Pomagając sobie nawzajem, okryli chłopców futrami, a złożone fotele wsunęli za siedzenia.

- Gotowe? - spytał młody człowiek. - Wobec tego jedziemy!

Krzyknął coś w stronę zaprzęzonych reniferów.

Karen i Nathan przez chwilę patrzyli za oddalającymi się saniami. Widzieli twarze chłopców, pełne podziwu dla tego nie znanego im środka transportu.

- Będziemy pierwsi! - krzyknął Matthew z sań, które podążały już w stronę restauracji.

- Tylko przez chwilę! - zawołał Nathan. - Zostawcie nam trochę jedzenia!

Na jego twarzy malowało się szczęście.

- Nigdy bym nie uwierzył w taką zmianę, gdybym nie widział tego na własne oczy - zadumał się, kładąc dłoń w grubej rękawiczce na karku Karen. Poprowadził ją ku zaśnieżonej ścieżce. - Gdyby ktoś ich teraz zobaczył w tych saniach, nie domyśliłby się, jak bardzo są chorzy.

- To cud.

Całe jej ciało ogarnęła świadomość, że Nathan nie zabrał ręki, gdy zaczęli iść. Co więcej, objął ją ramieniem opiekuńczym gestem, jakby chodzili tak już od dawna.

Przez kilka minut, jakie dzieliły ich od jasno oświetlonego budynku głównego, pozwoliła się prowadzić wśród leniwie wirujących płatków śniegu.

Po cudownej sannie Mark i Matthew posłusznie przesiedli się do swoich wózków. Nathan już wcześniej otwarcie omówił z nimi ich szczególną sytuację i poradził im, by oszczędzali siły na bardziej emocjonujące okazje.

Restauracyjne menu proponowało tradycyjne dania i specjalności kuchni fińskiej obok potraw zachodnich oraz kuchni rosyjskiej.

- Nie do wiary! - roześmiał się Nathan. - Jesteśmy za granicą, a ci dwaj filistrzy zamawiają rybę z frytkami!

- Ty też - zauważyła Karen.

- Jesteś taka sama jak oni! Pstrąg w sosie *hollandaise* z ziemniakami to co innego niż ryba i frytki!

Przekomarzali się przez całą kolację. Jednak pod koniec Matthew wyraźnie Zmarkotniał.

- Dobrze się czujesz? - spytał go Nathan. - Jesteś zmęczony?

- Nie. Tylko... Tato, jak my mamy do niej mówić? - Zerknął w stronę Karen. - W szpitalu nazywamy ją siostrą, a tutaj? Wiem, że ona ma ci pomagać, ale strasznie się zmieniła.

Kiedy Nathan spojrział na nią, pytająco unosząc brwi, domyśliła się, o co mu chodzi i przytaknęła.

- Trudna sprawa... - Oparł łokcie na stole, splótł palce i zamyślił się. - Może lepiej będzie, jeśli sama wam powie.

- No, to jak? - niecierpliwiał się Matthew.

- Macie jakieś propozycje? - zapytała. - Muszę was jednak ostrzec, że nie reaguję na zawołanie: „Ej ty!”

- Ma pani na imię Karen, prawda? - zaczął Mark. - Słyszałem, jak wołała panią pielęgniarka w szpitalu.

- Tak. - Czujne spojrzenia chłopców ją rozbawiły.

- Czy my też możemy mówić do pani „Karen”? Chociaż jest pani taka stara?

Słyszała tłumiony śmiech Nathana, ale nie patrzyła w jego stronę z obawy, że sama parsknie śmiechem.

- Rodzice chyba ci mówili, że trzeba być grzecznym wobec starszych i nie nazywać ich po imieniu?

- Mówili. Ale przecież się pani zgodziła.

- Skoro tak... - Podała dłoń każdemu z nich. - Jestem Karen, Miło mi cię poznać.

- Może tak być, tato? - upewnił się Matthew.

- W zupełności - odparł poważnie, chociaż w jego oczach migotały szalone ogniki.

Kelnerka sprzątnęła ze stołu, po czym poinformowała chłopców, że wkrótce, w drugiej części restauracji, rozpocznie się specjalny program przeznaczony dla dzieci.

- Czarodziej?! - Aż im oczy załśniły. - Możemy iść popatrzeć?

- Jasne! Już was tam wieziemy!

- Czy podać kawę do stolika? - spytała złotowłosa kelnerka.

Karen zawahała się.

- Nasz personel będzie się nimi opiekował - zapewniła ich dziewczyna. - Robimy to po to, żeby rodzice mieli chwilę spokoju pod koniec posiłku.

- Genialny pomysł - przyznał Nathan i ruszył z Matthew w stronę rozkrzyczanej grupki dzieci, zanim Karen zdążyła wyjaśnić kelnerce, że nie są rodzicami chłopców. Nathan - owszem, jest ojcem Matthew, ale ona nie jest jego żoną ani mamą tego drugiego...

- Nieważne - mruknęła do siebie. - Niech sobie myśli, co chce.

Ale... Przez ułamek sekundy cieszyła się myślą, że kelnerka bierze Nathana za jej męża.

Późnym wieczorem, gdy po wielu bojach zapędzili chłopców do spania, zastanawiała się, jak to się dzieje, że normalnie potrafi dać sobie radę z całym szpitalnym oddziałem dzieci.

Tym razem jednak mieli do czynienia z wyjątkowo zmęczonymi i rozbrykanymi osobnikami, dodatkowo wyczerpanymi nowością miejsca, otoczonego śnieżną krainą, i perspektywą spotkania ze Świętym Mikołajem.

Mimo to, oprócz wszystkich innych czynności, należało chłopcom podać leki, zbadać ich i zanotować wyniki.

Mark i Matthew koniecznie chcieli zająć górne łóżka i uparli się wchodzić po drabinie o własnych siłach.

- Uff! - Karen opadła bez sił na swoje łóżko. Nathan w tym czasie wyłączył wszystkie lampy oprócz jednej. - Już myślałam, że będą mieli kłopoty z zaśnięciem, ale padli natychmiast.

- Myślę, że usłyszymy ich dopiero rano. Usadowił się na łóżku obok niej.

- Może... napijemy się kawy? - zaproponowała, przestraszona wymową jego słów. W istocie znaleźli się w tym domku we dwoje i w półmroku siedzą na tym samym łóżku...

- Nie, dziękuję. - Ziewnął szeroko. - Wątpię, czy jakakolwiek kawa zdołałaby mnie teraz rozbudzić.

- Jeżeli jutro mamy mieć siły, żeby dotrzymać kroku tym dwóm facetom, to chyba też powinniśmy iść do łóżka. To znaczy...

- Wiem, o czym mówisz - odparł nieco rozbawiony, po czym znowu ziewnął. - Niestety, jestem za bardzo wykończony, żeby ci dokuczać z powodu tej dwuznaczności, a tym bardziej, żeby łapać cię za słówka.

Zwłókł się z łóżka i podał jej rękę, pomagając wstać.

- Daję ci pięć minut w łazience, bo inaczej zasnę na stojąco. Zmykaj.

Chwyciła kosmetyczkę, ręcznik i nocny strój. Oglądając się po drodze do łazienki, zobaczyła, jak Nathan rozgarnia żar w kominku.

Obudziwszy się nazajutrz, Karen stwierdziła, że zmęczenie jest lepszym środkiem nasennym niż pigułki.

Poprzedniego wieczoru, gdy tylko Nathan zniknął w łazience, starannie przykryła się kołdrą, mając na podorędziu szlafrok na wypadek, gdyby w nocy przyszło jej wstawać do chłopców.

Z żalem pomyślała o tych wszystkich ślicznych koszulach nocnych, które zostały w domu. Nasłuchawszy się o mrozach, jakie panują w Finlandii o tej porze roku, postanowiła wziąć z sobą flanelową piżamę. Nie wyobrażała sobie wówczas, by Nathan mógł być w pobliżu, kiedy przyjdzie jej wystąpić w tym niezgrabnym, różowym paskudztwie.

Leżąc w półmroku arktycznego poranka, zdała sobie sprawę, że nie pamięta, jak Nathan wychodził wczoraj z łazienki.

- Dzień dobry, śpiochu - usłyszała jego niski szept. Podniosła głowę, by popatrzeć na drugie łóżko.

- Dzień dobry - powiedziała mocno speszona, widząc, że ułożył się do spania tak, że niemal dotykali się stopami.

Oparty na zmiętej poduszce, z rękami pod głową, nie wiadomo, jak długo się jej przyglądał. Bez jej wiedzy.

W słabym świetle nocnej lampki, którą zostawił zapaloną przez wzgląd na chłopców, jego lekko przymrużone oczy lśniły jak dwa węgielki nad policzkami pokrytymi dwudniowym zarostem.

Wyglądał wprawdzie jak zaspany lew, ale Karen poczuła, że mimo wszystko ten lew może być bardzo niebezpieczny.

Leniwym wzrokiem obrzuciła jego nagie ramiona, lecz na widok uniesionych brwi zaczerwieniła się spłoszona i odwróciła spojrzenie, by nie widzieć zdziwienia w jego oczach.

- Przypominasz mi królika - szepnął wesoło.

- Królika? - wyjąkała.

- Owszem. - Popatrzył na nią, a ona wbiła palce w kolorową powłoczkę, świadoma tego, co zobaczył i zła zarazem, że nie może poprawić włosów ani pozbyć się tych zaróżowionych snem policzków.

- Jesteś taka różowa, puszysta i przytulna... W coś ty się ubrała?

- To jest piżama - warknęła. - Wzięłam ciepłą piżamę, bo nie wiedziałam, że na tym odludziu ogrzewanie działa tak sprawnie.

Nathan przez jakiś czas rozważał tę informację, podczas gdy Karen patrzyła na niego groźnie, starając się powstrzymać go od jakichkolwiek komentarzy.

W końcu chyba udało mu się powstrzymać śmiech.

- Idziesz do łazienki pierwsza? - zapytał uprzejmie.

Wyobraziła sobie, jak na jego oczach wkłada szlafrok tak, żeby nie zobaczył całej ohydy tej okropnej piżamy, i zrezygnowała. Jeżeli on pójdzie pierwszy, pozbędzie się tych łachów przed jego powrotem.

- Nie. Teraz twoja kolej - odparła pospiesznie.

- Hmm. Mogą z tym być pewne kłopoty...

- Dlaczego?

- Bo ja nie mam różowej piżamy. Poczula, że serce zabiło jej jak szalone.

- Och! - Omiotła spojrzeniem to ciało ukryte pod kołdrą i aż zaczerwieniła się na myśl o jego bliskości.

Poruszył się pod wpływem jej spojrzenia, uniósł kolano i w tej samej chwili, w której ona odwróciła głowę do belkowanej ściany, odrzucił kołdrę.

Nasłuchiwała uważnie, aż w końcu ucichły wszelkie odgłosy, i dopiero wtedy sprawdziła, czy może sięgnąć już po swój szlafrok.

Nathan jeszcze był w pokoju. Stał obok łóżka, ubrany tylko w ciemne spodenki. Sięgał właśnie po swoje rzeczy. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

Chyba coś powiedziała, bo nagle się odwrócił.

- Myślałem, że mogę ci zaufać i że nie będziesz podglądać! - zażartował.

Kiedy się wyprostował, zobaczyła, że jego szczupłe ciało o szerokich ramionach jest dokładnie takie, jak sobie wymarzyła. Nagle uświadomiła sobie, że się w niego beczelnie wpatruje, zacisnęła więc powieki i podciągnęła kołdrę aż po same brwi, żeby nie spostrzegł jej zmieszania. Słyszała, jak bosy przeszedł

obok jej łóżka i zamknął za sobą drzwi do łazienki. Długo jeszcze rozbrzmiewał jej w uszach jego tłumiony śmiech.

- Co dzisiaj robimy? - dopytywał się Mark.

- Kiedy pojedziemy do Świętego Mikołaja? - niecierpliwił się Matthew.

Karen właśnie zapinała mu kombinezon, bo mieli wyjść na śniadanie.

- Pomyślałem - zaczął Nathan - że po śniadaniu moglibyśmy poszukać poczty.

Musiała się odwrócić, żeby ukryć śmiech, widząc posmutniałe twarzyczki chłopców, którym nie w smak była taka nieciekawa propozycja.

- To znaczy urzędu pocztowego Świętego Mikołaja - wyjaśnił Nathan, po czym nastąpiła seria entuzjastycznych wrzasków.

- Czy on tam będzie? Czy będzie tam Mikołaj i jego skrzaty?

- Nie wiem. Pójdziemy, zobaczymy...

Nie dokończył, ponieważ przed domkiem rozległo się granie dzwonek. Chłopcy już wiedzieli, że to zajechała ich osobista „taksówka”, aby zawieźć ich do restauracji.

Zamykając drzwi, Karen z żalem pomyślała, że wolałaby zabrać się saniami, niż iść z Nathanem. Jak mu się wytłumaczy z tych porannych spojrzeń?

- Wzięłaś pieniądze? - Jego głos wyrwał ją z zadumy.

- Jakie pieniądze? - Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Mieliśmy iść na pocztę - tłumaczył cierpliwie. - A ponieważ miejscowe władze nie chcą dopuścić do nadmiernej komercjalizacji tej miejscowości, tylko tam można kupić pamiątki i prezenty.

Odetchnęła z ulgą. Przez resztę spaceru rozmawiali całkiem swobodnie.

- Nauczyliśmy Marittę rozkładać nasze wózki - pochwalili się chłopcy Karen i Nathanowi w holu restauracji.

- Powiedziała, że jej bracia nas do siebie zapraszają.

Po drodze do stolika chłopcy radośnie przekrzykiwali się nawzajem, wprawiając Karen we wspaniałą nastrój.

- Cieszę się, że wszystko udało się w porę załatwić - powiedziała półgłosem. - Ten pobyt świetnie im robi.

- Mnie też - przyznał się Nathan. - Tak bardzo pochłonęła mnie choroba Matthew, sukcesy i porażki terapeutyczne, że zupełnie zapomniałem o tym, że jest dzieckiem.

Karen z zadowoleniem zauważyła, że w tej chwili chłopcy są akurat pochłonięci własnymi sprawami.

W milczeniu rozważała jego słowa. Instynktownie czuła, że sprawa ta jest dla niego niezmiernie istotna, a jednocześnie daje jej pewien wgląd w myśli i uczucia tego raczej powściągliwego mężczyzny.

Wrócił do tematu dopiero po śniadaniu, kiedy chłopcy przygotowywali się do kolejnej przygody w śnieżnej, bajkowej krainie.

- Wiesz co? - podjął. - Ta wycieczka przypomniała mi, że pomimo całego stoickiego spokoju, z jakim Matthew znosi leczenie, ciągle jest sześciolatnim chłopcem, który wierzy w czary i szczęśliwe zakończenia. Zrobię wszystko, żeby tak się stało.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Popchnij mnie! Mocno! - krzyknął Mark, po czym z dzikim piskiem zaczął zsuwać się z łagodnego zbocza.

- Teraz ja! - niecierpliwił się Matthew, który już chciał dogonić kolegę.

- I pomyśleć, że taka górka może dzieciom dostarczyć tyle radości - dziwiła się Karen.

- Niestety, przypomina mi to rzucanie patyków szczeniakowi - mruknął Nathan, prostując plecy. - Im częściej mu się rzuca, tym on szybciej przybiega, dopraszając się o więcej.

- Ale tym razem to my rzucamy i jednocześnie aportujemy - zauważyła Karen, kiedy już schodzili ze stoku do miejsca, gdzie chłopcy się zatrzymali.

Nathan i Karen przewlekli linki przez solidne uchwyty toboganów i zaczęli wciągać je na szczyt.

Byli już prawie u celu, kiedy Karen rozpoznała znajomy dźwięk dużego dzwonka zawieszzonego na szyi renifera i spojrzała w stronę drogi ginącej wśród drzew.

- Mark! Matthew! Patrzcie!

Pochyliła się, by podnieść Marka, aby i on zobaczył, co zwróciło jej uwagę.

Wyciągnęła ramię, pokazując im sanie zaprzężone w renifera, które pomykały niemal równoległe do nich, wśród ośnieżonych pni i gałęzi.

Nathan tymczasem postawił Matthew na nogi, i przykucając, podtrzymywał go. On także pokazywał synowi postać w czerwonym stroju, która pozdrawiała ich z daleka.

- Mikołaj! - szepnął wzruszony, a zarazem zdumiony Mark. - On tu naprawdę mieszka! - odezwał się nieco głośniejszym głosem. - Matthew! Święty Mikołaj! Zobacz! - Gdy ten raz jeszcze pomachał im ręką, odpowiedzieli mu, szaleńczo wymachując całymi ramionami.

Karen zorientowała się, że za jej plecami Nathan filmuje całą scenę. Ucieszyła się, że wziął na siebie ciężar rejestrowania wyprawy, o co prosili rodzice Marka, ponieważ sama była tak przejęta, że w ogóle o tym zapomniała.

- Dokąd on jechał?

- Dlaczego się nie zatrzymał?

- Pewnie pojechał sprawdzić, jak się sprawują jego skrzaty - pospiesznie wyjaśniła Karen. - Dzisiaj przypada wigilia Bożego Narodzenia i w Finlandii wszyscy dostają prezenty, więc ma teraz pełne ręce roboty.

- Ale chyba pamięta, że przyjechaliśmy, żeby złożyć mu wizytę? Nie zapomniał o nas?

- Skądże znowu! - zaprotestował Nathan. - Przecież nas pozdrowiał.

- I na pewno go odwiedzimy?

Pytające spojrzenie ciemnoniebieskich oczu Matthew wędrowało od jednego dorosłego do drugiego. Chciał, by oboje rozwiali jego obawy.

- Oczywiście. I nawet będziecie mogli z nim porozmawiać - uroczyście oświadczył Nathan. - Gwarantuję.

Bezgraniczne zaufanie malujące się na twarzach obu chłopców poruszyło serce Karen.

- Słuchajcie, myślę, że pora zepchnąć z tej góry kogoś z dorosłych - zaproponowała, spoglądając wymownie na Nathana. Szalony pomysł spuszczenia ojca Matthew ze wzgórza okropnie się chłopcom spodobał.

Nathan rzucił jej spojrzenie obiecujące okrutną zemstę, lecz posłusznie, chociaż z miną męczennika, usadowił się na czerwonym, plastikowym toboganie.

- Do biegu, gotowi, start! - zagrzewała Karen chłopców, którzy wśród radosnych okrzyków i salw śmiechu zdążyli zapomnieć o swych obawach.

Kiedy w niesamowitej scenerii arktycznego, mrocznego poranka jechali na śniadanie saniami ciągniętymi przez rena, Nathan zaintonował kolędę o saniach i dzwoneczkach. Jego niski, chropowaty głos odbijał się echem od ośniezo-

nych pagórków. Po chwili dołączyły do niego głosy pozostałych uczestników sanny.

Jechali wśród drzew, których gałęzie ugięły się pod ciężkimi czapami śniegu. Kiedy Mark chwycił jedną z nich, cały śnieg spadł Nathanowi na kolana.

- Ty potworze! - ryknął Nathan, wyrzucając śnieg z sań. - Ty się jeszcze doigrasz! - groził. - Nie ujdzie ci to na sucho! - Udawał, że jest strasznie zły.

Chłopcy roześmiali się beztrosko, ani trochę nie przerażeni jego słowami.

Przed lunchem zaproszono ich, by wsiedli do długich sań zaprzęzonych w psy husky. Siedem psów pomknęło przez pogrążone w ciszy pustkowie ku osadzie wędrownych Lapończyków, gdzie mieli się spotkać wszyscy hotelowi goście zaproszeni na lunch na świeżym powietrzu.

Kiedy zaprzęg dotarł do obozowiska, Matthew dostrzegł coś niezwykłego.

- Tato! Tipi!

Ujrzeni stożkowatą budowlę, skonstruowaną tak samo, jak namioty północnoamerykańskich Indian: ze zwierzęcych skór rozpiętych na szkielecie z wysokich tyczek. Tym razem podniesiono skóry na jednej z części namiotu, ukazując wnętrze, gdzie paliło się niewielkie ognisko.

- Tam są miejsca do siedzenia - zauważył Mark. - Drewniane pieńki, jak w naszym domku. Czy możemy tam wejść?

Jeden z pomocników, który stał nieopodal ogromnych kotłów z zupą i gulaszem bulgoczących nad ogniem, musiał usłyszeć ich podekscytowane głosy, bo odwrócił się w ich stronę.

- Oczywiście. Ten namiot nazywa się *kota*. A ognisko, przy którym możecie się ogrzać, to *nuotio* - wyjaśnił z uśmiechem.

W tym samym czasie, kiedy Karen i Nathan sadowili chłopców na pieńkach, które tak bardzo poruszały ich wyobraźnię, chłopak nalewał zupę do dużych filiżanek. Chwilę później podał im krzepiące danie. Przez kilka minut uczył ich, jak wymawia się po lapońsku wyrazy *kota* i *nuotio* i obiecał, że gdy tylko skończą zupę, poda im drugie danie.

- Masz ochotę na zupę? - zwrócił się Nathan do Karen.

- Jasne! Umieram z głodu. Wszystkie siły włożyłam w to, żeby cię zepchnąć z tej góry!

Zrewanżował się jej przerażającym grymasem, który przyprawił obu chłopców o kolejny atak śmiechu.

- Jak pan się zachowuje, doktorze? - ofuknęła go, gdy wrócił z dwiema parującymi filiżankami. - Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek zaburzał tym chłopcom trawienie!

- Przepraszam, siostrze.

Starł się przybrać skruszony wyraz twarzy, ale w końcu sam wybuchnął śmiechem, który sprawił, że jego zazwyczaj ściągnięte rysy się wygładziły.

Spojrzała na jego syna i poczuła ogromną tęsknotę.

Kiedy Gareth potraktował ją tak okrutnie, postanowiła, że nigdy nie pozwoli, aby ktokolwiek sprawił, że będzie jej na nim zależało; aby ktokolwiek mógł ją zranić.

Po raz pierwszy od lat znalazł się ktoś, komu udało się przeniknąć mur, jaki wzniosła, by chronić swoje uczucia. Teraz, niespodziewanie dla samej siebie, przyłapała się na tym, że rozważa, jak by to było, gdyby założyła własną rodzinę... gdyby miała męża i syna, kochanych i kochających.

Sumienie jednak zmusiło ją do pewnego wyznania: nie chodziło jej o byle kogo. Pragnęła, by tym mężem był Nathan, a synem - Matthew.

O pogrózkach Nathana przypomniała sobie dopiero wtedy, gdy po lunchu wrócili do domku. Wysiedli z sań na podjeździe. Właśnie posadziła Marka na schodku, aby pomóc mu zdjąć buty, gdy zawołał ją Nathan.

Odwróciła się w jego kierunku i w tej samej chwili śniegowa kula rozprysła się na jej ramieniu, obsypując ją śniegiem.

- Auu! Zimne! - wrzasnęła.

- Tato! - krzyknął oburzonym tonem Matthew, gdy i jemu się oberwało.

- Ty też dostaniesz! - zawołał Nathan i, aby nikt nie czuł się pokrzywdzony, wycelował w pierś Marka.

- Chłopaki, pomóżcie mi! - zawołała. - Wydajemy mu wojnę!

Zgarnęła sporą kupkę śniegu i cisnęła w Nathana. Mark już zgarniał śnieg z przyzmy przy schodku. Nathan zdążył zrobić pierwszy unik, ale gdy do bombardowania śniegowymi kulami przyłączyli się obaj chłopcy, już po chwili wyglądał jak chodzący bałwan.

- To nie fair! - zawołał i zamierzył się na nią dwiema kulkami, a ona z piskiem rzuciła się do ucieczki.

Zapomniała jednak, że śnieg jest głęboki, a jej buty kępują ruchy, i ledwie skryła się za narożnikiem domku, runęła w śnieżną zaspę. Nathan tuż za nią.

- Nie! - krzyknęła, szamocząc się z nim.

Nagle poczuła, że znieruchomiał. Otworzyła ostrożnie jedno oko, by zobaczyć, że Nathan uważnie się jej przygląda.

- Co się stało? - spytała niepewnie.

Nim się zorientowała, co się dzieje, poczuła jego usta na swoich. Zakręciło jej się w głowie.

Nie wyobrażała sobie, że pocałunek może być gorący, a zarazem lodowaty. Jego wargi były zimne z powodu mrozu i śniegu, którym go obrzucili, lecz język parzył niczym rozpalone żelazo.

- Tato...

Nieśmiały głosik chłopca dotarł do niej przez mgłę pożądania, które niespodziewanie ją ogarnęło. W tej samej chwili ujrzała przed sobą przerażone spojrzenie Nathana. Usłyszała chrzęst śniegu. Ktoś się do nich zbliżał.

- Co robicie? - zapytał chłopiec z bezpośredniością sześciolatka.

Co my robimy?! - pomyślała przerażona. Mieli opiekować się dwójką chłopców, a jednego z nich, tego, który ledwie trzymał się na nogach, zostawili

na ośnieżonych schodach! Jak mogli pozwolić sobie na igraszki na śniegu i pocałunki...

- Właśnie uczyłem Karen, jak się robi orła na śniegu - wykrztusił Nathan.

- Ja też chcę! - zawołał Matthew. Już nie patrzył na nich podejrzliwie. -

Naucz nas!

Jeszcze przez ułamek sekundy, kiedy Matthew już odszedł, żeby opowiedzieć Markowi, co zobaczył, Nathan wpatrywał się w oczy Karen. Miał tak rozszerzone źrenice, że jego oczy wydały się jej prawie czarne.

Mrucząc coś pod nosem, sturlał się na bok, usiadł i zapatrzył w śniegową dal. Z zapartym tchem czekała, co powie, ale tylko potrząsnął głową, westchnął i podał jej rękę, by pomóc wstać. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nadal leży na ziemi z rozpostartymi ramionami, w tej samej pozycji, w której Nathan ją całował. Speszyla się.

Nie skorzystała z jego pomocy i wstała o własnych siłach.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że została pod nią jeszcze gruba warstwa śniegu. Temperatura tego pocałunku powinna zamienić go w parę, pomyślała, siląc się na żart.

- Tato, chodź! - wołał Matthew, wyglądając zza węgła.

- Czekamy, żebyś nauczył nas robić orła!

Rzucił jej ostatnie, gorące spojrzenie i wstał.

- Otwieram kurs robienia orłów na śniegu! - krzyknął, idąc w stronę chłopców.

Karen nie ruszyła się z miejsca, nasłuchując szaleńczych śmiechów dobiegających sprzed domku. Starła się uporządkować myśli, pojąć, co się wydarzyło między nią i Nathanem.

- Karen! Chodź do nas! Jaka fajna zabawa! - usłyszała dziecięcy głosik Matthew.

- Może dla ciebie! - mruknęła, wkładając czapkę na potargane włosy.

Potykaając się o niewielką zaspę poczuła, że kolana ma jak z waty. Gdy wyszła z za rogu domku, zobaczyła, że cała trójka leży już na plecach na nieskalanej połaci śniegu.

- Twoje miejsce jest obok taty - pouczył ją Matthew.

- Najpierw musisz się położyć, ale ostrożnie, żeby nie zrobić żadnych śladów.

Ociągając się, podeszła do Nathana. Widziała, że ją obserwuje.

- Karen już leży. Co teraz?

- Powoli podnoście i opuszczajcie ramiona, jakbyście machali skrzydłami.

Dla zilustrowania swych słów, przesunął ramiona do wysokości barku i z powrotem, nie spuszczać jednak wzroku z Karen. Z trudem odwróciła głowę w przeciwnym kierunku.

- Co dalej? - usłyszała z drugiego końca głos Marka.

- To samo robimy nogami.

Poczuła, jak się czerwieni na wspomnienie tego, jak rozsunęła nogi, kiedy przygniótł ją swoim ciałem... Jak idealnie pasowały tam jego biodra...

- A teraz wstajemy bardzo powoli, żeby niczego nie popsuć. Zaraz wam pomogę.

Słyszając, że się podnosi, pomyślała, że nareszcie może spokojnie na niego popatrzeć. Przyglądała się, jak po kolei podawał chłopcom ręce i stawiał ich na nogi.

- Karen, chodź zobaczyć - zażądał Matthew, gdy podnosiła się ze śniegu. - Zrobiliśmy całą rodzinę orłów. Tata, mama i dwa małe orzełki. Chodź zobaczyć!

Święta prawda.

Ich ramiona wytarły na śniegu ślady do złudzenia przypominające skrzydła, a trzy różne wielkości rzeczywiście sugerowały rodzinę.

- Dwa małe orzełki? - parsknęła, tłumiąc wzruszenie.

- To są chyba dwa chochliki.

Otrzeptała dzieci ze śniegu i zaprowadziła do domu na gorącą herbatę.

Godzinę później, kiedy sadowili się w saniach, które miały ich zawieźć do budynku głównego, usłyszeli dzwonki innych sań zaprzęzonych w renifery.

Tym razem to Mark pierwszy dostrzegł postać w czerwonym stroju.

- To on! - wrzasnął. - Jedzie w naszą stronę.

Ku radości chłopców postać gestem zaprosiła ich sanie, by ruszyły w ślad za jej zaprzęgiem. Kiedy woźnica skręcił w tym samym kierunku, chłopcy z radości omal nie powypadali z sań. Pilnie rozglądali się na wszystkie strony, aby nie stracić z oczu czerwonej plamy, przekonani, że tylko w ten sposób dotrą do wymarzonego celu.

- Jest! - zawołała Karen za jednym z leśnych zakrętów.

- Chatka.

Z daleka widzieli, jak tajemnicza postać wysiada z sań i znika w domku. Młodsza postać, w bardziej jaskrawym stroju, odprowadziła zaprzęg na tyły chatki.

Woźnica zatrzymał ich sanie przed samymi drzwiami, po czym gestem wskazał napis wyrzeźbiony w belce nad wejściem.

- *Joulupukki* - przeczytał, a chłopcy natychmiast powtórzyli ten wyraz, który poznali dopiero tego samego dnia rano.

- Czy ktoś wymówił moje imię? - zapytał głos z wnętrza chaty. Po chwili na progu stanął Święty Mikołaj. - Witajcie - rzekł z uśmiechem. Miał policzki rumiane jak jabłuszka i kręconą, siwą brodę. - Zapraszam do środka. Zapraszam...

Poprowadził ich do środka.

- Powiedzcie mi - zaczął, gdy już znaleźli się w przytulnej izbie - czy przybywacie z daleka?

- Z Anglii - odparł Mark drżącym głosem. - Przylecieliśmy samolotem.

- O! A jak się nazywacie?

- Ja mam na imię Mark.

- A ja Matthew.

- Mark i Matthew... - Starzec powiódł wzrokiem po chłopcach, po czym wziął ze stolika dwie kartki. - Mark Hooper i Matthew Beckett - przeczytał uroczystym tonem. Skinął na nich, by podeszli bliżej, a sam usiadł na drewnianym fotelu tuż obok pięknie ubranej choinki. - Napisaliście do mnie dwa listy. O, proszę.

Widząc bezgraniczne zdumienie na twarzach chłopców, którzy rozpoznali swoje listy wysłane z Anglii, Karen zerknęła na Nathana, aby podzielić się z nim radością, jaką sprawiła jej ta scena. Musiał wiedzieć, co czuła, bo chwycił jej dłoń i nie zwalniał uścisku przez cały czas rozmowy chłopców z Mikołajem.

Matthew i Mark błyskawicznie nabrali do niego zaufania i już po kilku minutach opowiadali mu jak własnemu dziadkowi o swoich chorobach i o fundacji dobroczynnej, która sprawiła, że ich marzenie się ziściło.

Mark nawet ściągnął czapkę, żeby pokazać brzydkie blizny, jakie pozostały po operacjach guza, który mimo to powoli go wyniszczał.

- Dzielni chłopcy... - rzekł półgłosem starzec, pomagając Markowi ponownie włożyć czapkę, która skrywała czerwone ślady ingerencji chirurga, wyraźnie widoczne pod rzadkimi, złotorudymi włosami.

Rozwijająca się choroba sprawiała, że Mark bardzo szybko się męczył i tracił władzę w nogach. Kiedy się zachwiał, Święty Mikołaj posadził go sobie na kolanach, po czym otoczył ramieniem Matthew i obu serdecznie uściskał.

Popatrzył na Karen i Nathana, którzy ujrzeli łzy w jego jasnoniebieskich oczach. Skinął głową przyzwalająco, gdy Nathan wyjął aparat fotograficzny.

- A teraz do rzeczy - zaczął zmienionym tonem, zwracając się do dorosłych. - Czy ci chłopcy byli grzeczni podczas wizyty w moim kraju? Czy im się tutaj podoba?

- Oczywiście - odparła Karen. Była mu wdzięczna za cierpliwość. - Jeździli już saniami i karmili renifery.

- Zjeżdżali z góry na toboganie i bili się śniegowymi kulkami - dodał Nathan.

- To dobrze. Bardzo dobrze. A czy dzisiaj wieczorem będą pomagali przy ubieraniu choinki w hotelu?

- Jasne! - zapewnił go Mark. - Ubierzemy też drzewko w naszym domku.

- Nasz domek jest zbudowany z takich samych bali jak twój - poinformował go Matthew. - I też ma kominek w rogu pokoju.

- To dobrze. - Starzec pokiwał głową. - W kraju, gdzie jest tyle śniegu, jest czym się bawić, ale ciepła chata jest najważniejsza.

Spojrzał pytająco na Karen i Nathana.

- Mogą mi państwo pomóc? Trzeba wyjąć dwie paczki spod choinki.

- Te? - zapytał Nathan, sięgając po dwa spore pudełka w kolorowym papierze.

- Tak.

Nathan zatrzymał jedną paczkę, drugą podał Karen.

- Proszę podejść bliżej, żeby chłopcy mogli przeczytać, dla kogo są.

- Tu jest napisane Matthew - zdziwił się Matthew.

- A tu Mark! - Mark aż pisnął z radości.

Wymienili między sobą promienne spojrzenia, po czym popatrzyli na dorosłych.

- Skoro napisane są na nich wasze imiona, to znaczy, że moje skrzaty przeznaczyły je dla was.

- Dziękuję - wyjąkał Matthew, wodząc wzrokiem od paczki do dobrotliwie uśmiechniętego oblicza starca.

- Och, Święty Mikołaju... - szepnął Mark drżącymi wargami, spoglądając na pudełko w rękach Karen. - To najwspanialsze Boże Narodzenie w moim życiu...

Wycisnął gorący, dziecięcy pocałunek na policzku swego dobroczyńcy.

- Chłopcy - zaczął wyraźnie wzruszony gospodarz. - Spotkamy się ponownie dzisiaj wieczorem, kiedy już ubierzecie choinkę. Weźcie prezenty i odpakujcie je w swojej chatce. W Finlandii nie trzeba czekać z tym do pierwszego dnia świąt!

Raz jeszcze w oczach błysnęły mu łzy, gdy Karen pomagała Markowi zejść z jego kolan i gdy gładził Matthew po ramieniu.

- *Nakemiin...* Do zobaczenia - powiedział, podnosząc się z fotela, by odprowadzić ich do drzwi.

- *Nakemiin, Joulopukki* - powiedzieli chłopcy unisono, po czym nagle przypomnieli sobie słówko, którego nauczyła ich kelnerka Maritta. - *Kiitos...* Dziękujemy.

- To ja dziękuję wam za to, że przyjechaliście do mnie z tak daleka - odparł z uśmiechem.

Stał na progu, patrząc, jak Nathan znosi Marka po stopniach i sadowi go w saniach, a Karen pomaga Matthew.

W trakcie ich wizyty u Mikołaja zaczął padać śnieg, przeistaczając całą okolicę w krainę z baśni. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, gdy okazało się, że żaden z chłopców za nic w świecie nie chce wypuścić z rąk swojego prezentu. Przed zakrętem po raz ostatni krzyknęli:

- *Nakemiin!*

Po chwili z sań nie było już widać chatki ani jej gospodarza.

Dotarli do domu prawie po ciemku. Chłopcy przez całą drogę nie mogli doczekać się chwili, kiedy rozpakują prezenty. Początkowo zamierzali otworzyć je już w saniach, ale dzięki perswazji Nathana i Karen, którzy zwrócili ich uwagę na ryzyko zgubienia prezentu w śniegu lub zaśmiecenia okolicy, zgodzili się zaczekać.

- Mark, pospiesz się! - Matthew popędzał kolegę, gramoląc się z sań niezdarnie, ponieważ nie chciał rozstawać się ze swą paczką. - Chodźmy do

domu i zobaczymy, co tam jest! - krzyknął, ostrożnie stąpając po ośnieżonych stopniach.

- Poczekaj na mnie! Już idę!

Mark z trudem trzymał pudełko, zły na swoje kosmate rękawiczki. Dotarł do schodków i popatrzył na Matthew, któremu Karen pomagała zdjąć buty.

- Mark, poczekaj! Zaraz ci pomogę! - krzyknął Nathan, który okrążał sanie, by podziękować woźnicy, lecz chłopiec wyraźnie nie miał czasu na czekanie.

- Nie wchodź, dopóki do ciebie nie przyjdę - tłumaczył Nathan, spiesząc przez świeży śnieg.

Katastrofa nastąpiła niespodziewanie. Mark albo się pośliznął, albo mięśnie nóg odmówiły mu posłuszeństwa i spadł ze schodów na ziemię.

- Mark!

Karen serce skoczyło do gardła na widok nieruchomo leżącego ciała. Chciała rzucić się na pomoc, ale musiała przecież pilnować Matthew.

- Coś mu się stało? - zapytała, biorąc w ramiona zapłakanego sześciolatka.

Nathan przykląkł przy Marku. W jego oczach ujrziała rozpacz, że nie zdążył w porę doskoczyć do chłopca.

- Otwórz drzwi i zapal światło. Potrzebuję tutaj więcej światła, żeby go zbadać, zanim wniosę go do domu.

- Idziemy, Matthew. Musimy pomóc tacie obejrzeć Marka.

Włączając wszystkie lampy, aby jak najlepiej oświetlić nieprzytomnego chłopca, nie przestawała mówić, żeby podtrzymać Matthew na duchu.

W sztucznym świetle jaskrawe kolory kombinezonu Marka wydały się jej wyjątkowo krzykliwe. A może sprawiła to groza sytuacji?

- Patrz, Matthew. Tata już go podnosi. Zaraz tu będą.

- Nic mu nie jest? Nic mu nie jest?

Łzy strachu spływały mu po policzkach, które w ciągu paru chwil straciły zdrowy wygląd, jakiego nabrały przez tych kilka szczęśliwych dni w Finlandii.

- Zaraz tatę o to zapytamy - uspokoiła go. - Przytrzymaj mu drzwi, a jak wejdzie, zamknij.

Zadowolony, że może na coś się przydać, Matthew odszedł od okna i ustawił się przy drzwiach.

- Karen, podaj mi... - zaczął Nathan, wnosząc chłopca. - Czytasz w moich myślach. - Uśmiechnął się, widząc, że postawiła torbę lekarską na jednym z łóżek.

- Mark? Zdejmę ci kombinezon. Powiedz mi, jeśli coś będzie cię bolało.

Zaczął rozpinąć zamki. Karen podeszła bliżej, aby mu pomóc. Kamień spadł jej z serca, gdy Nathan zaczął mówić do chłopca. Dzięki Bogu nie spełniły się jej najgorsze obawy. Pozostało teraz dowiedzieć się, jakie obrażenia spowodował ten upadek.

- Żyje? - szepnął Matthew. - Uderzył się w głowę?

- Tak, skarbie. - Starła się, by jej słowa brzmiały jak najbardziej przekonująco. - Żyje i jest przytomny. Zdejmujemy mu kombinezon, żeby sprawdzić, czy nabił sobie jakiegoś guza albo sińca.

Gdy przestała być potrzebna Nathanowi, przygarnęła do siebie jego syna, który przywarł do niej jak przestraszone zwierzątko. W końcu Nathan wyłączył lampkę, którą sprawdzał odruch źreniczny, wyprostował się i odetchnął z ulgą.

- Nie stwierdziłem żadnych obrażeń - poinformował. - Chyba nawet nie stracił przytomności. Myślę, że jest oszołomiony niespodziewanym upadkiem.

- Nie uderzył się w głowę? - zapytała.

Pytanie to zabrzmiało tak zwyczajnie, że nawet Matthew nie mógł się zorientować, jak bardzo jest istotne w tej sytuacji. Tego typu nowotwory mózgu są bowiem bardzo unaczynione i w przypadku silnego uderzenia grożą śmiertelnym krwotokiem. - Głowa była tak szczelnie opatulona czapką, że nawet nie zauważyła, że Mark chciał na niej skakać.

Matthew parsknął uradowany, lecz tej samej chwili Mark zaczął rozpaczliwie zawodzić.

- Zgubiłem - zaszlochał. - Zgubiłem mój prezent od Mikołaja...

Karen nie mogła patrzeć na łzy, które jak groch ciekły mu po twarzy.

- Posłuchaj, skarbie - zaczęła go pocieszać.

Nathan tymczasem wstał z łóżka i energicznym krokiem podszedł do drzwi. Po chwili był z powrotem. Tak szybko, że Karen jeszcze nie udało się utulić chłopca.

- Mark, zobacz, co niesie mój tata! - pisnął Matthew prosto do ucha przyjacielowi.

Najpierw otworzyło się jedno zaczerwienione oko, a potem natychmiast drugie, ponieważ przed nimi huśtała się kolorowa paczka.

- Znalazł ją pan... - szepnął Mark. Dotknął jej, jakby nie był pewny, czy może wierzyć własnym oczom, po czym pochwycił i mocno przycisnął do piersi. - Dziękuję... - Znowu się rozplakał. - Bardzo panu dziękuję.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Uroczystość otwierania paczek odbyła się, gdy tylko wszyscy pozdejmowali ciepłe ubrania, a Karen podała gorącą czekoladę.

- Gotowi? - niecierpliwził się Nathan, ustawiając się z aparatem. - Najwyższy czas zobaczyć, co jest w tych paczkach.

- Chcecie otwierać je po kolei czy na trzy cztery? - zapytała Karen.

- Na trzy cztery!

Chłopcy zaczęli rozrywać kolorowe opakowania.

- Patrz!

- Ojej!

Wystarczyło, że zobaczyli obrazki na pudełkach, by zorientować się, co znajdą wewnątrz.

- Gry komputerowe!

- O, taka sama, jaką mamy w szpitalu!

Ułożyli się na szerokim łożu, by dokładnie obejrzyć prezenty. Karen i Nathan zebrali tymczasem puste kubki i przeszli do kuchenki, żeby je umyć.

- Zdaje się, że od tej pory naszym jedynym problemem będzie oderwanie ich od tych nowych skarbów na czas posiłków i na spanie - zażartował.

- Mikołaj nie mógł wymyślić dla nich niczego lepszego. - Uśmiechnęła się chytrze. - Kiedy je włączą, poczujemy się jak w środku międzygwiazdnej wojny.

- Na razie... - zerknął na zegarek, a następnie na chłopców, aby się upewnić, że są bardzo zajęci - mamy kilka minut, żeby postanowić, co robimy z Markiem.

- Co masz na myśli?

Powiesiła ściereczkę na sosnowym kołku.

- Czy zabrać go do budynku głównego, gdzie mieli pomagać przy ubieraniu choinki? - zniżył głos.

- A gdybyśmy tak przyjęli metodę „pójdziemy, zobaczymy”? - zaproponowała. - Byłoby przykro, gdyby obaj musieli zostać w domu i stracić taką atrakcję, a potem okazałoby się, że nie było powodu. Poza tym w każdej chwili można zabrać go do domu, gdyby wystąpiły jakieś niepokojące objawy albo gdyby okazało się, że jest zbyt osłabiony.

- Dobrze! Poddaję się! Pojadą ubierać choinkę.

Zjawili się w hotelu w chwilę po tym, jak przyniesiono drzewko i ustawiono je w rogu sali.

- Pachnie od samego wejścia - zauważyła Karen, głęboko wdychając sosnowy zapach. - Jakby ktoś przeniósł las do domu.

- A do tego ten zapach sosnowych polan palących się na kominku...

Nathan zgrabnie wyminął jakiegoś rozpedzonego i bardzo już podekscytowanego malucha.

- Skąd są te wszystkie dzieci? - zdziwiła się Karen. - Nie wiedziałam, że mieszka ich tu aż tyle.

- Pewnie brały udział w innych atrakcjach, kiedy my byliśmy tutaj. Prawdopodobnie ubieranie choinki jest pierwszą rzeczą, w której wszystkie zapragnęły wziąć udział.

- Nie zapominaj o spotkaniu z Mikołajem, które ma być po kolacji. Jeśli dobrze pamiętam, jednym z punktów programu ma być wręczanie prezentów dorosłym.

Roześmiał się.

- Ale z ciebie duże dziecko!

- Tato... - Matthew pociągnął go za łokieć. - Mamy problem.

- Naprawdę? - Nathan przykucnął. - Mów.

- Problem jest taki, że chcemy pomagać przy strojeniu choinki, ale wózkami nie możemy blisko do niej podjechać, a jesteśmy za mali, żeby dosięgnąć gałęzi.

- Rozumiem. - Nathan przybrał skupioną minę lekarza. - Czy macie jakiś pomysł, jak ten problem rozwiązać?

- No... na przykład ty masz bardzo długie nogi.

- Ale nie możesz ich ode mnie pożyczyć, bo są przyrośnięte.

- A gdybyś tak nas podniósł? - zaproponował Matthew z nadzieją w głosie. - To byłaby taka pożyczka bez odrywania...

- Całkiem niezły pomysł. Chodźmy.

Zjechali wózkami pod ścianę, po czym Nathan przykucnął przed Markiem.

- Karen, pomóż mu wdrapać się na moje plecy.

- A ja? - zmartwił się Matthew, widząc zachwyty na twarzy przyjaciela, który pierwszy oglądał świat z wysokości dwóch metrów.

- Nie jestem taka wysoka jak twój tata, ale mogę cię wziąć na plecy, aż przyjdzie twoja kolej przesiąść się na najwyższe stanowisko.

Całą godzinę trwało ubieranie choinki łańcuchami i bombkami. Karen zachwyciła się drewnianymi, kolorowymi ozdobami, które zawieszono na końcach gałęzi.

- To chyba jest ręczna robota - zauważyła, przytrzymując mocniej chłopca, który właśnie pokazywał Nathanowi jedną z takich ozdób. - Są tu renifery, sanki, gwiazdki, choinki...

- A tu jest Mikołaj...

Wkrótce personel sprawnie posprzątał puste pudełka po ozdobach. Zebrani wstrzymali oddech, zgaszono lampy i, ku radości wszystkich, po raz pierwszy zapalono światełka na choince.

- Ojej!

- Jaka piękna choinka!

- Nic dziwnego - powiedział Nathan. - Przecież to my pomagaliśmy ją ubierać.

Jednak gdy przyszała pora na wigilijną kolację, włączono światło, rezygnując z bajkowej atmosfery na rzecz praktyczności.

Karen powstrzymała się, by nie jęknąć, gdy Mark zsunął się z jej pleców na wózek. Jutro nie będzie mogła się wyprostować, ale nie żałowała, że pomogła chłopcom wziąć udział w takiej wspaniałej zabawie.

W miarę zbliżania się dziewiątej napięcie wśród uczestników wzrastało. Wystawna kolacja dobiegła końca i wszyscy zasiedli dokoła choinki. Po chwili jakieś dziecko, stojące blisko okna, krzyknęło:

- Jedzie! Jedzie Święty Mikołaj!

W ciszy, jaka zapadła, rozległ się delikatny dźwięk dzwonka na szyi renifera, który ciągnął sanie.

Mark i Matthew nie mogli usiedzieć na miejscu. Mimo że rozmawiali już z Mikołajem, z wypiekami na twarzy czekali na ponowne spotkanie. Karen pomyślała sobie wtedy z zadowoleniem, że ich pobyt znakomicie się układa.

Trudno było wyobrazić sobie, że ci dwaj chłopcy jeszcze niedawno spędzali czas na szpitalnych łózkach: jeden poddawany był chemoterapii dla zahamowania białaczki, drugi zaś dzielnie dawał sobie radę z postępującym kalectwem, ale załamał się, gdy wypadek jego rodziców postawił tę wyprawę pod znakiem zapytania.

Goście podchodzili całymi rodzinami do Mikołaja, rozmawiali z nim, dostawali prezenty. Dorośli tak samo jak dzieci byli oczarowani atmosferą wieczoru i jego gospodarzem.

Kiedy przyszła kolej Nathana, Karen i chłopców, Mikołaj rozpoczął wręczanie prezentów od Marka.

- To jest prezent ode mnie dla ciebie, Marku. Ale jeszcze zadam ci jedno pytanie. Młody człowieku, czy zrobisz coś dla mnie? - Popatrzył na niego poważnym wzrokiem. - Mam tu prezent dla twoich rodziców, ale dowiedziałem się z twojego listu, że są w szpitalu.

- Najechał na nich samochód i połamał im kości.

- Nie chcę, żeby czekali na prezent ode mnie, aż wyzdrowieją, więc chcę cię prosić, żebyś im osobiście go wręczył. Zrobisz to?

- Tak - oświadczył uroczyście Mark. - Obiecuję.

- To dobrze. Bardzo dobrze. - Oczy starca lśniły, gdy układał dwie paczuszki na kolanach chłopca. - Pilnuj ich i dbaj o siebie. Czuję się zaszczycony tym, że cię poznałem.

Pomarszczona dłoń delikatnie pogładziła kolorową czapkę, która zakrywała świadectwo choroby Marka. Karen dostrzegła głęboki smutek w oczach Mikołaja, a jednocześnie zauważyła, jak usilnie stary człowiek odsuwa go od siebie.

- Teraz Matthew - zwrócił się do młodszego chłopca z promiennym uśmiechem. - To jest specjalny prezent dla ciebie. Jak już będziesz w Anglii i popatrzysz na niego, przypomnisz sobie o mnie i być może o tym, że czasami nasze pragnienia się spełniają.

Podając upominki Karen i Nathanowi, Mikołaj powiedział tylko:

- Niech Bóg was błogosławi i przypomina wam, że musicie być odważni i nie możecie tracić nadziei.

Kiedy opróżnił swój wór, stanął w otwartych drzwiach, odwrócił się i obdarzył wszystkich pożegnalnym gestem. Za jego plecami płatki śniegu wirowały w świetle latarni.

- Na mnie już czas. Muszę pomóc skrzatom załadować sanie. Potem mój ren i ja wyruszymy w świat, żeby przed świtem rozdać ludziom prezenty. Do zobaczenia! *Nakemiin!*

Jeszcze raz pomachał im ręką, po czym wsiadł do sań i zniknął w ciemnościach.

W tej samej chwili obaj chłopcy zaczęli opadać z sił, jakby ktoś odciął im dopływ energii.

- Padam z nóg - powiedziała Karen, wymownie spoglądając na podopiecznych, kiedy Nathan rzucił jej zdziwione spojrzenie. - Po tym, jak przez cały wieczór musiałam nosić na plecach te dwa słońtka, wiem, jak będzie czuł się jutro ten biedny renifer.

W ogólnym zamieszaniu nietrudno było namówić chłopców na spokojną przejażdżkę saniami do domu. Drogę przez las oświetlały latarnie, podobne do księżyców w pełni otoczonych aureolami z iskrzących się płatków śniegu.

- Jakbyśmy byli w środku mojej śniegowej kuli! - zauważył Mark. - Jakiś olbrzym nami potrząsnął i teraz cały śnieg wiruje wokół nas.

Ciągnęli temat zamieci śnieżnych i olbrzymów, kiedy Karen przenosiła ich do domu i zdejmowała kombinezony. Potem, podczas mycia i przebierania się w piżamy, dzielili się wrażeniami z wydarzeń tego całego, wyjątkowego dnia.

- Czy możemy jeszcze pobawić się grami? - prosił Matthew bardzo już sennym głosem.

- Zostawcie to sobie na rano - poradził Nathan, gładząc palcem policzek syna. - Będziecie mieli na to jeszcze mnóstwo czasu. Poza tym myślę, że jeżeli szybko zaśniecie, to być może Mikołaj znajdzie dla was jakiś dodatkowy prezent...

Urwał, ponieważ zorientował się, że chłopcy już śpią. Zerknął na drzewko w rogu izby. Na jego gałązkach wisiały prezenty od Mikołaja: drewniane ozdoby, które tak urzekły Karen na wielkiej choince w hotelu.

Matthew dostał renifera z ogromnymi rogami, w kolorowej uprząży, Mark - figurkę Świętego Mikołaja w czerwonym stroju i z siwą brodą, Nathan - sanie z parą ludzików, a Karen - piękną gwiazdkę, która zdawała się iskrzyć w blasku kominka.

Gdy ucichł rozgardiasz, który nieodmiennie towarzyszył układaniu chłopców do snu, w izbie zapanowała cisza. Jednak gdy Nathan zaproponował obejrzenie w telewizji któregoś z angielskich programów, żadne z nich nie miało wielkiej ochoty psuć tego nastroju. Podziwiając kolejny raz drewniane, choinkowe ozdoby, Karen nagle coś sobie przypomniała.

- Przecież ja mam dla nich prezenty! Zupełnie o nich zapomniałam!

Zła na siebie za to przeoczenie sięgnęła do jednego z zakamarków, gdzie przed wyjściem na wigilijną kolację ukryła niewielką torbę. Zamierzała im wręczyć te prezenty po powrocie do domu.

- Ja też coś mam, ale postanowiłem dać je dopiero pierwszego dnia świąt, zgodnie z naszą angielską tradycją.

Nathan otworzył torbę, w której nosił kamerę, i z kieszeni wyjął dwie paczuszki.

Przykucnął przed choinką i wsunął pod nią swoje prezenty. Wyjmując upominki z torby, Karen przypomniała sobie, że jeden z nich jest przeznaczony dla niego.

W trakcie zakupów na lotnisku w Rovaniemi przyłapała się na tym, że szuka czegoś także dla Nathana. Teraz jednak poczuła się bardzo niepewnie.

A jeżeli on nie pomyślał o niej? Czy nie poczuje się niezręcznie? A może upominek od niej wprawi go w jeszcze większe zakłopotanie? W końcu jednak zdecydowała się położyć pod choinką wszystkie paczuszki. Mimo że nie podpisała prezentu dla Nathana, pragnęła, aby go dostał. Gdyby zaczął dochodzić, kim jest darczyńca, powie mu, że jest nim Święty Mikołaj...

Mimo że zapadł już arktyczny mrok, było jeszcze dosyć wcześnie i Karen nie mogła usiedzieć na miejscu. Dręczyło ją przeświadczenie, że dla nich dwojga ta drewniana chata wśród śniegów stała się pułapką. Przerwała bezcelową krzątanie po ciasnej izbie i sięgnęła po kombinezon.

- Wybierasz się gdzieś? - zdziwił się Nathan.

- Nie.

Czuła ogromną potrzebę zajęcia się czymś, co odciągnęłoby jej myśli od tego mężczyzny. Wydawało się jej, że on w ogóle nie zwraca uwagi na jej obecność. Gdyby wiedział, co ona czuje...

- Chciałam wyjść na ganek, popatrzeć, jak pada śnieg, posłuchać ciszy...

Bała się, że Nathan ją wyśmieje za taki romantyczny pomysł albo, co gorsza, dopatry się w nim jakiegoś pretekstu.

- Mogę ci towarzyszyć? - zapytał półgłosem, odwracając wzrok od dREW płonących w kominku. - Na ganku będzie słycać każde wołanie chłopców. Chciałbym zakosztować prawdziwej arktycznej nocy bez tych rozgadanych dzieciaków.

Uśmiechnęła się, czując wzbierającą falę ciepła.

Domyślił się!

Nie zadrwił z jej romantycznych pomysłów i nawet nie domagał się wyjaśnień, po co i dlaczego chciała wyjść z domu.

Ubrali się ciepło i wyszli na dwór. Natychmiast poczuła zimno, ale jakże inne od przenikliwego chłodu angielskiej zimy. Powietrze było tu suche i orzeźwiający niczym dobrze schłodzony szampan.

Stali otuleni tą niezwykłą nocą, a padający śnieg zdawał się tłumić wszelkie odgłosy oprócz szumu wiatru wśród gałęzi drzew okalających ich chatkę. W smudze światła sączącego się przez szparę w zasłonach gruby kobierzec śniegu migotał tysiącem gwiazdek.

Karen zerknęła do wnętrza domku. Ujrzała tam kominek z płonącymi polanami, przed nim brzozowe pieńki do siedzenia, które tak fascynowały chłopców, a w głębi - bożonarodzeniowe drzewko z kołyszącymi się kolorowymi ozdóbkami, a także stosik barwnie opakowanych prezentów.

Jaki rozkoszny obrazek, pomyślała. Taki swojski, promieniujący ciepłem i optymizmem. Lecz nagła fala smutku uprzytomniła jej bajkową ulotność tej sceny. Cała ta podróż jest równie nierealna.

- O czym myślałaś? - wyrwał ją z zadumy. - Miałaś bardzo smutną minę...

Oddechnęła głęboko: gruby, wełniany szal, który zasłaniał jej usta i nos, sprawił, że powietrze wcale nie było takie mroźne. Zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Pomyślałam sobie, że pozory mylą - wyznała.

- W jakim sensie?

- Popatrz na ten domek. - Gestem wskazała szparę w zasłonach. - Każdy, kto by tam zajrzał, miałby przed sobą ten sam obrazek, jak z kartek świątecznych: kominek, przytulny pokój, choinka, a pod nią prezenty. Wydawałoby się, że mieszkają tam bardzo szczęśliwi ludzie.

- Co w tym złego? - Patrzył jej w oczy. - Ogień rzeczywiście sprawia, że pokój wydaje się przytulny, i tak jest naprawdę. Te prezenty też nie są teatralnymi rekwizytami. Sprawiają chłopcom radość, ponieważ są dowodem czyjejs miłości. Oni nie będą się przejmowali tym, że sceneria jest wzięta żywcem z bożonarodzeniowej kartki.

- Przepraszam. - Odwróciła wzrok. - Tak mi się... - Spojrzała na niego i już zupełnie innym tonem rzuciła mu pytanie: - Jego stan się pogarsza, prawda?

Mimo że słowa te tłumiał gruby szal, Nathan drgnął, zaskoczony ich gwałtownością.

- Tak - przyznał. - Wydaje się, że nowotwór zaczął się rozwijać w przyspieszonym tempie i zaczyna wywierać ucisk na istotne obszary mózgu.

- Zauważyłam, że Mark ma kłopoty z mówieniem i przełykaniem - dodała.

- Ma coraz słabsze kończyny lewej strony ciała. Myślę, że w tym należy upatrywać przyczyny dzisiejszego upadku.

Milczeli. Karen jednak czuła, że ich myśli podążają tym samym torem. Oto dociera do nich świadomość, że wyraźnie pogarszający się stan Marka zwiastuje bliski koniec jego jakże krótkiego życia.

- To straszne! - wyszeptała przez zaciśnięte zęby. - Taki kochany dzieciak! Zrobiłabym wszystko, żeby mu pomóc, ale już nic więcej nie mogę...

Słowa uwięzły jej w gardle. Czuła, że się rozpłacze.

- Czasami myślę, że twoje zaangażowanie nie wychodzi ci na dobre - szepnął i objął ją pocieszającym gestem.

- Przecież nie powiesz mi, że nic cię nie obchodzi, co się z nim dzieje! - zaatakowała go.

- Oczywiście, że mnie obchodzi. Wszystko się we mnie buntuje na widok spustoszenia, jakie czynią w nich nowotwory, na myśl o tym, przez co muszą przejść, i o tym, na co ja sam je skazuję. Ale, Karen... - Dłonią w grubej rękawiczce uniósł jej brodę tak, by patrzeć jej prosto w oczy.

- Za każdym razem przeżywasz to tak, jakby chodziło o twoje własne dziecko. I to cię niszczy. Ani tobie, ani mnie nie wolno tego robić, ponieważ w końcu zatracimy dystans potrzebny do tego, żeby skutecznie im pomagać...

Poczuła, że musi powiedzieć mu prawdę.

- Oczywiście masz rację - westchnęła zrezygnowana.

- Ale, zauważ, że nie dzieje się tak w przypadku każdego dziecka. Tylko w przypadku takich małych, upartych bohaterów jak Mark i Matthew. Tacy potrafią zaskarbić sobie nasze uczucia...

Zabrakło jej słów. Nathan milczał. Wpatrywał się w jej oczy, jakby chciał zgłębić jej myśli, jej odczucia.

- Karen... - podjął po chwili. - Jesteś istotą wyjątkową. Cieszę się, że wraz z Matthew zdecydowałem się na tę przeprowadzkę. Uważam, że warto było przeżyć to całe zamieszanie, chociażby tylko po to, żeby Matthew mógł poznać ciebie, znaleźć taką opiekunkę.

Odsunął z jej twarzy gruby szal i pocałował ją. Znieruchomiała, wydała zdławiony okrzyk, a on gwałtownie odsunął się, jakby zawstydzony tym, czego się dopuścił.

- Przepraszam. Nie chciałem...

Mimo zmieszania nie przestawał się w nią wpatrywać. Nie wiadomo, co ujrzał w jej oczach, lecz jego wargi znowu dotknęły jej ust, a ona objęła go przyzwalającym gestem.

Tak dzieje się tylko w bajkach, pomyślała leniwie. Czekala na to cały czas, od tamtego pamiętnego pocałunku na śniegu... Nie, od tej chwili, kiedy odwróciła się od łóżka Matthew, by spotkać spojrzenie tych niesamowitych szafirowych oczu.

Otworzył usta i czubkiem języka wodził po jej wargach, rozpalając je do granic wytrzymałości, aż w końcu wpuściły go do środka. Nie usłyszała tego pomruku rozkoszy, który wzniósł się w mroźnym powietrzu ponad ich głowami. Wiedziała jedynie, że po raz pierwszy w życiu znalazła się tam, gdzie powinna.

Kiedyś wydawało się jej, że kocha Garetha, dopóki jego okrutny postępek nie sprawił, że poprzysięgła sobie nigdy już nie oddać swojego serca mężczyźnie. Lecz w obecności Nathana świat jest całkiem inny.

Nathan jest inny.

Ona jest inna.

Ten, którego teraz trzyma w ramionach, jest człowiekiem, który kompletnie zawładnął jej sercem. Jemu podawała swoje wargi, a wraz z nimi całą siebie, swoje ciało, serce i umysł.

- Nathanie... - szepnęła, bezwolnie opierając głowę na jego ramieniu, kiedy całował jej szyję. - Och, Nathan...

Pokierowała jego głową tak, by ich wargi znowu się spotkały.

- Co my wyprawiamy, Karen! - szepnął, gdy obojgu zabrakło już tchu. - W taki mróz i śnieżycę?

W pierwszej chwili znieruchomiała przerażona, że pożałował tych chwil, lecz gdy parsknął radośnie śmiechem i mocniej przytulił ją do siebie, jej obawy zniknęły bez śladu.

- Obawiam się, że padliśmy ofiarą rozszalałych hormonów - zaśmiała się cicho. - Chociaż zawsze wydawało mi się, że do czegoś takiego może dojść wyłącznie w tropikach.

- Czy myślisz, że taki brak manier można usprawiedliwić potrzebą wzajemnego zachowania ciepła?

Wtulił twarz pod jej szalik, w zagłębienie na jej ramieniu. Poczowała, jak wdychał zapach jej ciała.

- Zachowanie ciepła... - mruknęła, czując, że kolana ma jak z waty. - Energia, jaką wydzielamy, wystarczyłaby dla całkiem sporego miasta.

Roześmiała się, lecz jego wargi ponownie zaczęły burzyć jej zmysły. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy zorientowała się, że jego palce gorączkowo szukają zapięcia w jej kombinezonie.

- Tak nie można...

Powstrzymała jego dłonie. Kłęb pary, który uniósł się nad jego głową, potwierdził odgłos westchnienia, który wcześniej usłyszała.

- Wiem, wiem. Na takim mrozie i z dwoma chorymi chłopcami w domu możemy pozwolić sobie jedynie na pocałunki. Ale to wcale nie znaczy, że ja nie chcę niczego więcej...

Błysk w jego oczach przekonał ją o szczerości tych słów.

- Wiem - szepnęła.

- Ty też tego pragniesz - oświadczył bez cienia wahania.

- Masz jakieś wątpliwości? - Nie dowierzała własnym uszom i pomimo trzaskającego mrozu poczuła, że się czerwieni.

- Trzeba znaleźć jakiś sposób...

- Nie - przerwała mu. - Myślę, że tak będzie lepiej. Chłopcy mogą nas potrzebować.

- Masz rację. Chodzący rozsądek. - Posmutniał. - I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą zarzucałem ci nadmierne zaangażowanie! - Pochylił się, by delikatnie pocałować ją w usta. - Ostatni całus, żeby mnie ugłaskać, dopóki nie znajdziemy lepszego miejsca i czasu - mruknął, otwierając drzwi.

Już w izbie Nathan najpierw zajrzał do obu chłopców, po czym zajął się wygaszaniem kominka. Tym razem Karen pierwsza zajęła łazienkę. Przez dłuższą chwilę przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze: ta kobieta miała zaróżowione policzki i brązowe, błyszczące oczy. Przesunęła palcem po nabrzmiąłych wargach i jeszcze raz przez jej ciało przetoczyła się fala pożądania.

- Nathan... - szepnęła, lecz natychmiast potrząsnęła głową gestem oburzenia, mimo że na myśl o Nathanie jej serce zaczynało bić mocniej, wrywać się z piersi... - Właż pod prysznic, durna babo - mruknęła. - Jeszcze jedna głupia myśl, a będzie to bardzo zimny prysznic!

Drżąc, sięgnęła po mydło.

- Czy już możemy rozpakować prezenty?

Matthew aż podskakiwał na łóżku, przeszkadzając Karen, która właśnie wkładała mu buty. Chłopcy dostrzegli paczuszki pod choinką dopiero gdy rozległ się dzwonek renifera zaprzęzonego w sanie, które podjeżdżały pod ich domek, aby zawieźć ich na poranny posiłek.

Posługując się najbardziej wyrafinowanymi argumentami, jakich nie powstydziliby się doświadczony dyplomata, Nathan przekonywał ich, by rozkosze otwierania paczek przełożyli sobie na powrót ze śniadania. Najskuteczniejsza jednak okazała się obietnica obejrzenia lodowych latarni oraz pochodni.

Skromna msza z okazji Bożego Narodzenia odbywała się na świeżym powietrzu, a jej oprawę stanowiły wyłącznie migoczące płomyki świec. Niezapomniane wrażenie wywarły na Karen hymny intonowane w tym świetlistym kręgu, wznoszące się ku ciemnemu jeszcze niebu arktycznego poranka.

Mark i Matthew obserwowali to wszystko z sań, otuleni w ciepłe futra. Dla Karen chwile te nabrały jeszcze większego znaczenia, gdy Nathan, który stał tuż za nią, objął ją w pasie i przytulił do siebie. Gdy echa ostatniego hymnu rozpierzchły się wśród wzgórz, z żalem pomyślała, że oto nadszedł koniec tej upajającej bliskości. Z zamyślenia wyrwał ją głęboki pomruk.

- Co to było?

Rozejrzała się za źródłem tego odgłosu.

- No... - zaczął Nathan, mrugając porozumiewawczo do chłopców. - Może to znaczyć, że zanoszą się na trzęsienie ziemi albo że ten renifer ma już dosyć wożenia takich dwóch słońi...

- Albo?

Chłopcy domagali się dalszego ciągu tych banialuk.

- Burczenie mojego żołądka, który jest potwornie głodny! - dokończył, zabawnie przewracając oczami. - Jedźmy już na to śniadanie!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obfite śniadanie upłynęło im w wesołej atmosferze - pomimo niepokoju, jaki łączył Karen i Nathana, wywołanego stopniowym pogarszaniem się stanu Marka. Kilkakrotnie wymienili spojrzenia, gdy Karen musiała chłopcu pomóc przy stole.

- Czy uważasz, że powinniśmy sprawdzić, czy możemy wrócić dzisiaj do Anglii? - zapytała Nathana, ścisząc głos, gdy śniadanie dobiegło końca.

W miarę jak paraliż obejmował lewą stronę ciała, Mark coraz gorzej radził sobie podczas posiłków. Karen pocieszała się jednak, że dzięki jej dyskretnej pomocy nie musiał się wstydzic swej nieporadności.

- Dowiem się, jakie są możliwości wcześniejszego powrotu. Ale wolałbym trzymać się programu. Czekaj go tutaj tylko jeden zastrzyk i jeżeli okaże się to możliwe, nie chciałbym zmuszać go do powrotu.

Wiedziała, że może zaufać jego ocenie sytuacji.

- Zdaję sobie sprawę, że ma teraz bardzo trudny okres oraz że ten stan może się utrzymać przez jakiś czas, zanim nastąpi załamanie. - Spoglądając na Nathana, nie ukrywała troski. - Pomyślałam o jego rodzicach. Gdyby coś się stało w czasie ich nieobecności...

- Nie możemy niczego być pewni...

Uchylił się, robiąc miejsce dla kelnerki Maritty, która akurat podeszła do ich stolika. Uśmiechał się, słuchając, jak ta przemiła osoba rozmawia z chłopcami.

Codziennie witała się z nimi po lapońsku, a gdy jej odpowiadali w tym samym języku, poprawiała ich wymowę.

Podjmując przerwana wypowiedź, już się nie uśmiechał. Karen pamiętała ten wyraz skupienia na jego twarzy z ich rozmów podczas szpitalnych dyżurów.

- Posłuchaj mnie, Karen. Przez cały czas oboje go obserwujemy. Obiecuję ci, że jeżeli sprawy przybiorą niepomyślny obrót, natychmiast wyślę go do Anglii, nawet gdybym miał zostawić cię tutaj samą z Matthew.

Ponieważ już nic więcej nie można było powiedzieć, zainteresowali się przyczyną entuzjazmu chłopców.

- Maritta opowiadała nam o skuterach śnieżnych - wyjaśnił Matthew, który wziął na siebie rolę rzecznika. - Mówiła, że jeżeli będzie z nami ktoś dorosły, to my też potrafimy czymś takim kierować.

- Możemy się przejechać? - spytał błagalnie Mark.

- Nie wiem - odparł Nathan. - Co ty o tym sądzisz, Karen?

- Pod warunkiem, że nie będą się rozpędzać. Boję się, że jeżeli pognają zbyt szybko, mogą wzbić się w powietrze jak samolot - powiedziała równie poważnym tonem.

- Stroicie sobie z nas żarty! - Matthew najwyraźniej poczuł się urażony. - Taki skuter jedzie za wolno, żeby wzbić się w powietrze, prawda, Maritto?

Kelnerka roześmiała się i przytaknęła.

- W takim razie nie widzę żadnych przeszkód, żebyśmy spróbowali - uznał Nathan. - Ubierajmy się... i na dwór!

Obsługa tych pojazdów okazała się rzeczywiście bardzo prosta i już po chwili w jednym zasiedli Mark z Nathanem, a w drugim Karen i Matthew. Ruszyli drogą, która wiodła spod hotelu do pobliskiego lasu.

Karen, która usiadła za plecami Matthew, przez jakiś czas trzymała dłonie na kierownicy obok jego łapek w kolorowych rękawiczkach, dopóki nie nabrał koniecznego wyczucia.

- Ale hałas! - krzyknęła do Nathana, którego pojazd podążał za nimi.

Leśną ciszę zburzył warkot będący skrzyżowaniem huku kosiarki do trawy i motoroweru. Jechali w głąb lasu oznakowanym szlakiem wśród ośnieżonych drzew. W leśnej gęstwinie wyłączyli silniki, by napawać się ciszą,

- Tak tu cicho, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie - szepnął Matthew. - Nie ma żadnych ludzi ani domów.

- Wcale nie czuję się tu osamotniona - stwierdziła Karen, mimo woli zniżając głos, jakby była w kościele. - Wydaje mi się, że gdybym chciała, wystarczyłoby mi pójść za ten zakręt, a tam znalazłabym osadę Lapończyków albo nawet całą wioskę.

Przez kilkanaście minut chłonęli ciszę, przyglądając się przeróżnym drzewom ukrytym pod czapami śniegu. Jedne miały tradycyjny kształt choinki, inne zaś wznosiły się wysoko, niczym strzeliste wieże katedry.

- Możemy już wracać? - zapytał Nathan, spoglądając na Karen.

Pomimo zmęczenia chłopcy nalegali, by cała czwórka wyprawiała się jeszcze dalej w głąb lasu. Błyskawicznie zmienili plany, gdy Karen przypomniała im o nie rozpakowanych prezentach. Od tej chwili nie mogli się doczekać, kiedy już znajdą się w domu.

- Zaczynamy! - Nathan rzucił hasło, gdy tylko usadowili się wygodnie w ciepłej izbie. - Co my tu mamy? - Sięgnął po najbliższy pakiecik i przeczytał imię obdarowanego. - To jest dla Marka. - Podał go chłopcu, który zaczął rozrywać kolorowy papier.

- Jeszcze jedna gra komputerowa! - pisnął Mark. - Genialnie! Jeszcze nigdy w nią nie grałem!

- Teraz mamy coś dla Matthew.

- Ja też dostałem grę! - krzyknął zachwycony. - Inną niż ty. Będziemy mogli się wymieniać!

- I jeszcze dwie paczki, po jednej dla każdego z was. Nathan wręczył je pospiesznie, by zdążyć, nim chłopców pochłoną ich komputerowe zabawki.

- To jest koszulka - oznajmił Matthew, podnosząc ją do góry.

- Ja też mam koszulkę. Z Mikołajem. Zobacz!

Mark rozłożył ją sobie na kolanach, aby pokazać wszystkim podobiznę ich wspólnego znajomego przy saniach.

- Tam jest jakiś napis - zauważyła Karen. - Przeczytaj.

- „Byłem u Świętego Mikołaja w Laponii” - sylabizował Mark, wspomagany przez Nathana.

Uprzedzając prawdopodobieństwo, że obaj chłopcy zechcą natychmiast się przebrać, Karen zaproponowała, by wystąpili w nowych koszulkach po powrocie do Anglii, gdy odwiedzą rodziców Marka.

- Zostały nam jeszcze dwa prezenty. To dziwne, ale oba mają ten sam kształt i są tej samej wielkości i tylko na jednym jest czyjeś imię.

Nathan podał upominek Karen, która bez trudu rozpoznała jego pismo. Rozpakowali swoje paczki jednocześnie i w tej samej chwili zanieśli się śmiechem.

- Trzy, cztery! - powiedział Nathan, pokazując Karen niewielki obrazek w ramce, ona zaś podniosła na wysokość jego oczu identyczny widoczek.

- Co to jest? - dopytywał się Matthew. - Co dostaliście?

- Laponia jesienią - wyjaśniła Karen, pokazując mu obrazek. - Nazywają tę porę roku *ruska*. Jesienne przymrozki w nocy i deszcz za dnia sprawiają, że drzewa okrywają się czerwonymi, żółtymi i złocistymi liśćmi, jak na tym obrazku.

- A z czego się śmialiście? I dlaczego macie dwa takie same?

- Ponieważ podświadomie oboje wybraliśmy je dla siebie nawzajem. - Nathan posłał jej promienny uśmiech.

- Nasze gry są lepsze - oświadczył Matthew zdecydowanym tonem. - Możemy teraz pograć?

Nathan spojrzał na zegarek.

- To zależy od tego, czy chcecie zjeść lunch w igloo.

- W igloo?

Gnani ciekawością nie sprawiali najmniejszego kłopotu podczas przygotowań do czekającej ich nowej przygody.

Raz jeszcze zasiedli na pieńkach do posiłku, ale tym razem dla chłopców największą atrakcją było niewątpliwie samo igloo.

- Myślałem, że tu będzie zimno jak w lodówce - przyznał Matthew donośnym szeptem. - Dlaczego tu jest tak ciepło?

- I dlaczego ten śnieg się nie topi? - wtórował mu Mark.

- Igloo można zbudować tylko z jednego rodzaju śniegu, tak mocno zbitego, że daje się z niego wycinać całe bloki - wyjaśnił im ktoś z obsługi.

- No ale dlaczego tu jest ciepło? - napierał Matthew zaintrygowany.

- Ponieważ ściany igloo są tak grube, że nie przepuszczają na zewnątrz ciepła rozchodzącego się od paleniska ani nadmiaru zimna z zewnątrz. Do środka przedostaje się tyle zimna, ile potrzeba, aby zapobiec topnieniu śniegu.

Po lunchu chłopcy byli tak zmęczeni, że należał im się odpoczynek. Bez większych protestów ułożyli się na łóżkach, by się zdrzemnąć.

- Podobno panuje tutaj taka tradycja, że przed świąteczną kolacją należy pójść do sauny - rzucił od niechcienia

Nathan, wyciągając nogi przed kominkiem. - Spróbujemy?

- Nie... wiem... - wyjąkała Karen.

Serce biło jej szybko. Czy on sugeruje, że powinni razem pójść do sauny?

- Uważam - ciągnął, omiatając spojrzeniem jej obcisłe dzinsy i kremowy sweterek - że ci Finowie są strasznymi ponurakami, ponieważ uparli się, że sauna jest miejscem przeznaczonym do kąpieli, medytacji, relaksu i rozmów, a nawet do porodów, ale nie przyszło im do głowy, że można tam również robić dzieci.

Zaczerwieniła się na myśl, że mógłby odgadnąć jej pragnienia.

Gdyby znalazła się w saunie sam na sam z Nathanem, relaks byłby ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby jej do głowy.

- Przygotuję wszystko, a potem, jeżeli zechcesz, możemy tam wejść osobno - oznajmił, przerywając tok jej zmysłowych myśli.

- Zgoda - przystała, w pełni świadoma, że przecież o to właśnie jej chodziło. - Nie wypada być w Finlandii, mieć saunę tuż za ścianą i nie spróbować.

Dla zagranicznych gości, którzy mogliby mieć trudności z przygotowaniem sauny, dyrekcja hotelu przezornie umieściła w domku stosowną instrukcję. Pół godziny później Karen wyszła stamtąd z przyjemnym uczuciem, że cała łśni.

- Wyglądasz, jakbyś miała szesnaście lat - usłyszała zachwycony głos tuż za plecami.

Odwróciła się. Nathan pożerał wzrokiem jej jaśniejącą twarz i mokre włosy.

- Twoja kolej - powiedziała, robiąc mu miejsce w przejściu, a jednocześnie kurczowo przytrzymując szlafrok. - Tam jest pełno ręczników.

Odsunęła się pospiesznie w obawie, że mógłby zechcieć jej dotknąć, a wtedy nie miałyby siły mu się oprzeć, ponieważ sama też tego pragnęła.

Wkrótce obudzili się chłopcy. Dostali coś do picia i aż do kolacji byli pochłonięci grami komputerowymi.

- Czy przyjdą państwo na tańce? - zapytała Maritta, podając kolację.

- Nie - odparła Karen, odpędzając od siebie romantyczne myśli. - Musimy wrócić z chłopcami do domu.

- Tak nie można! - zaprotestowała młoda kobieta. - W Boże Narodzenie trzeba tańczyć. Mogę przyjść do państwa i ich popilnować.

- To bardzo ładnie z twojej strony - zaczął Nathan - obawiam się jednak...

- Mam dwóch braci - przekonywała ich Maritta - i to ja się nimi opiekuję. A jak skończę szkołę, zostanę pielęgniarką. - Popatrzyła na Marka, co uświadomiło Karen, że dziewczyna usiłuje w taktowny sposób przekazać im, że rozumie, na czym polega ich problem. - W razie czego zatelefonuję po państwa - dodała.

- Co ty na to, Karen? Potrafisz mi wybaczyć, jeżeli będę deptał ci po palcach?

Nim zdążyła odpowiedzieć, do rozmowy włączył się Matthew.

- Znasz się na grach komputerowych? - zapytał, przeszywając Marittę spojrzeniem. - Dostaliśmy różne gry od Mikołaja.

- Zawsze wygrywam z moimi braćmi - pochwaliła się dziewczyna.

- Zdaje się, że mamy wolny wieczór - skomentował Nathan, gdy cała trójka zaczęła przechwalać się swoimi osiągnięciami w różnych grach. - A może nie masz ochoty?

Zacisnęła mocniej wargi, by się nie roześmiać.

- Z przyjemnością potańczę - odparła opanowanym tonem, chociaż wszystko w niej wrzało.

Będzie tańczyła z Nathanem! Będzie trzymał ją w ramionach, przytulał, a dookoła nich będzie muzyka...

- O której mam przyjść? - zapytała Maritta, wrywając Karen z rozkosznej zadumy.

Była jeszcze w łazience, gdy Nathan zawołał, że wychodzi po Marittę. Rozbawiła ją ta sytuacja. Jego zbolący ton skojarzył się jej z wiecznie cierpiącym mężem, którego żona nigdy nie jest gotowa na czas.

Nagle spoważniała. A może ten zbolony ton bierze się stąd, że jego była żona nigdy nie była gotowa na czas? Skąd mogłaby to wiedzieć? Znają się za krótko, nie mieli wielu okazji do zwierzeń. Prawdę mówiąc, to właściwie niewiele o nim wie. Pewne natomiast jest jedno: że jest w nim bez pamięci zakochana.

Och, zawsze go podziwiała jako mężczyznę i lekarza, na długo przed tą podróżą. Lecz szalę przeważały jego dobroć i cierpliwość wobec chłopców oraz zdumiewająca umiejętność postawienia się w ich sytuacji oraz porozumiewania się z nimi.

- Jesteś gotowa? - wołał Matthew. Przyłapała się na tym, że nadal stoi przed lustrem z pomadką w ręce. - Tata zaraz wróci, a ty obiecałaś, że się nam pokażesz w stroju wyjściowym!

Rozbawiona zgarnęła szybko drobiazgi do kosmetyczki i wyszła z łazienki. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, pomyślała.

- Jak się wam podobam?

Zakręciła się na palcach, aby mogli w pełni docenić delikatną tkaninę jej rozszerzanych, wieczorowych spodni, które zawirowały w powietrzu, by opaść lekko i ułożyć się na jej biodrach i nogach niczym długa spódnica.

- Mnie się podobają te błyskotki - szepnął Mark, dotykając pajetek, które tworzyły motyw jesiennych liści na bluzce.

- Dziękuję panom. - Złożyła piękny ukłon. - Muszę dalej się ubierać, bo chcę być gotowa na przyjście doktora Becketta.

Nie miała całkowitej pewności, ale wydawało się jej, że dostrzegła w jego oczach błysk zawodu, gdy wróciwszy po nią zobaczył, że już zdążyła ukryć swą kreację pod kombinezonem.

- Ona ma spodnie, tato - poinformował go Matthew, któremu nie umknęło zawiedzione spojrzenie ojca.

- I błyskotki - dorzucił Mark, niemal nie odrywając się od swojej gry.

Szli już dobrą chwilę ośnieżoną ścieżką, gdy Nathan zdecydował się przemówić.

- Przepraszam, że nie zapytałem cię wcześniej, czy masz ochotę na te tańce. Mam wrażenie, że zostaliśmy w to wrobieni przez dwójkę tych młodziaków, a wiem, że wy, kobiety, lubicie na takie okazje ładnie się ubrać. Nie przyszło mi do głowy, że będziesz zmuszona wystąpić w spodniach i możesz czuć się nie najlepiej...

- Nie martw się - przerwała mu te nieco przydługie przeprosiny. - Jestem całkiem szczęśliwa w tych spodniach. Wierz mi.

- Spodnie i błyskotki - mruknął z przekąsem, kiedy w końcu zdjęła kombinezon. - Zdaje się, że będę musiał wtajemniczyć mojego syna w kwestię subtelnych szczegółów eleganckiego stroju wieczorowego.

Skierowali się w stronę parkietu. Po drodze od czasu do czasu Nathan przystawał, aby podziwiać jej sylwetkę: od połyskujących włosów aż po eleganckie sandały na obcasie.

- Fantastycznie, fantastycznie - powtarzał za każdym razem.

Znaleźli się na parkiecie. Prowadził ją, trzymając jedną dłoń na jej plecach, drugą przytulając jej rękę do piersi. Z okazji świąt salę oświetlały tysiące świec, których blask kładł się miękko na włosach Nathana i lśnił w jego szafirowych oczach, ilekroć ten na nią spojrzał.

Jej pragnienie, by znaleźć się jeszcze bliżej niego, wkrótce się spełniło. Otoczył ją ramionami, a ona oparła głowę na jego piersi.

- Karen... - szepnął tuż przy jej skroni, jakby upajał się samym brzmieniem jej imienia; jego oddech poruszył kosmyk włosów na jej policzku.

- Mmm?

Uniosła głowę, by spojrzeć na niego i bezwiednie musnęła wargami kącik jego ust. Czy rzeczywiście bezwiednie? To niespodziewane spotkanie przyprawiło ją o drżenie, lecz gdy wyczuła, że Nathan westchnął, pojęła, że przeżywają to samo.

- Nie patrz tak na mnie - szepnął. - Nie patrz tak, bo dojdzie do skandalu.

- Jak to? - Z trudem wydobywała słowa.

- Zrobię coś absolutnie szalonego. Na przykład zarzucę sobie ciebie na ramię i wybiegnę na dwór.

Zaśmiała się radośnie, wyobrażając sobie cenionego onkologa, który z kobietą na ramieniu znika w mroku arktycznej nocy. Gdy dotarło do niej, że za drzwiami panuje kilkunastostopniowy mróz, przeszedł ją dreszcz.

- Lepiej tego nie rób - ostrzegła go. - Zamarzlibyśmy na śmierć.

Odpowiedział jej coś półgłosem, ale na widok niezadowolenia, jakie odmalowało się na jego twarzy, wołała już o nic nie pytać. Tańczyli blisko godzinę, pozornie swobodni i zadowoleni. Karen jednak czuła narastające napięcie, chociaż bardzo starała się nawiązać jakąś niewinną rozmowę. W końcu zniechęciły ją jego zdawkowe odpowiedzi. Nie uszedł również jej uwagi zacięty wyraz jego twarzy.

- Cholera! - warknął, a gdy melodia stała się jeszcze wolniejsza, wypuścił ją z objęć. - Mam tego dosyć. Wracamy do domu - oświadczył i bez pardonu wyprowadził ją z sali do szatni.

Pomyślała, że umrze z rozpacz. Romantyczny wieczór się nie udał, a ona nawet nie wie dlaczego.

Gdy wracali do domu, odważyła się zerknąć na niego, lecz zrozumiała natychmiast, że nie warto o nic pytać... Był wściekły.

- Dziękujemy za opiekę nad chłopcami - Karen zwróciła się do Maritty z uprzejmym uśmiechem. - To był naprawdę udany wieczór.

Zamknęła drzwi za Nathaniem, który miał odprowadzić opiekunkę. Gdy dobiegła do drzwi łazienki, na dobre się rozplakała. Zamknęła się w jej bezpiecznym wnętrzu. Nie chciała, aby jej płacz obudził chłopców. Czułaby się zobowiązana wytłumaczyć im, dlaczego płacze, a przecież sama nie pojmowała dlaczego...

- Gdzie jesteś, Karen?

Głos Nathana. Stał pod drzwiami łazienki, chociaż nie słyszała, jak wrócił. Otarła zapłakaną twarz.

- Karen? W porządku?

Słowom towarzyszyło delikatne pukanie do drzwi.

- Już wychodzę.

Przemyśla oczy zimną wodą, ale i tak wiedziała, że nie zdoła ukryć faktu, że płakała przez cały czas, od kiedy wyszedł z Marittą. Odetchnęła głęboko, wyprostowała się i otworzyła drzwi.

- Przepraszam, że musiałeś czekać - powiedziała z pochyloną głową, żeby włosy zasłoniły jej twarz. - Łazienka wolna.

Chciała go wyminąć, lecz on chwycił ją za łokieć i odwrócił ku sobie.

- Co się stało, Karen? Źle się poczułaś? - Delikatnie uniósł jej twarz. - Co się dzieje? Płakałaś! - Zabrzmiało to jak zarzut. - Dlaczego?

- Ciszej, bo obudzisz chłopców - przypomniała mu.

- No to co?! - rzucił i w tej samej chwili otworzył drzwi do sauny, pociągając ją za sobą do środka. - Masz mi zaraz powiedzieć, o co chodzi.

Bardzo chciała okazać się silna, ale niepokój w jego spojrzeniu sprawił, że znowu się rozplakała.

- Przepraszam. - Wziął ją w ramiona, po czym zaczął ją kołysać jak dziecko, które potrzebuje pocieszenia. - Przepraszam, że zachowałem się tak... bezdusznie - zaczął niepewnie, jakby z trudem dobierał słowa. - Minęło już tyle czasu, od kiedy pociągała mnie jakaś kobieta... od kiedy dostrzegałem kobiety, że po prostu założyłem...

- Założyłeś? - zdziwiła się, już nic nie rozumiejąc.

- Źe czujesz to samo co ja - szepnął. - Źe pragniesz mnie tak bardzo jak ja ciebie.

- To znaczy... - Niespodziewane przejście od rozpaczki do niemal euforii sprawiło, że zabrakło jej tchu. - Ty mnie pragniesz? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Nie wiesz, jak bardzo - zapewnił ją gorąco. - Jak myślisz, co innego mogło to wszystko znaczyć? Gdybym jeszcze chwilę dłużej trzymał cię w objęciach, rzuciłbym cię na ten parkiet, nie bacząc na konsekwencje!

Ogromnym wysiłkiem woli Karen udało się opanować wybuch szczęścia.

- Jeden taniec więcej - powiedziała niepewnym głosem - a musielibyśmy rzucać monetę, żeby ustalić, kto kogo ma rzucić na podłogę!

Przez kilka sekund zastanawiała się, czy ten nagły przypływ odwagi z jej strony nie zaszokował Nathana.

Lecz po chwili jego śmiech wypełnił niewielkie pomieszczenie sauny.

- Dzięki Bogu! - szepnął, tuląc ją i całując.

- Na pewno by się to Finom nie spodobało - zauważyła, układając się wygodniej na jego nagiej piersi, gdy zaspokoili swe pożądanie.

- Nic im nie powiem, jeżeli i ty będziesz trzymać język za zębami - obiecał, unosząc głowę na drewnianej ławie, na której w końcu wylądowali, by pocałować jej nabrzmiałe namiętnością usta. - Poza tym wcale nie braliśmy sauny. Wykorzystaliśmy jedynie te resztki ciepła, jakie tu się ostały. I tylko tu mogłem cię okrutnie wykorzystać bez obawy, że zjawi się ciekawskie audytorium.

- Dobry Boże! A chłopcy? - Poczowała wyrzuty sumienia. - Zupełnie o nich zapomniałam.

- Bardzo mnie to cieszy. - Gładził oburącz jej plecy i biodra. Zakołysał biodrami, aby jej przypomnieć, że nadal są bardzo blisko. - Wątpię, żeby moje ego było w stanie pogodzić się z jakimkolwiek rywalem.

Nie skomentowała tych słów. W milczeniu delectowała się brakiem świadomości tego, gdzie kończy się jedno z nich, a zaczyna drugie. Nathan okazał się dokładnie taki, jakim go sobie wyobrażała: delikatny zarazem i namiętny...

- Dlaczego? - szepnął, wtulając twarz w jej włosy.

- Mmm?

Może czegoś nie usłyszała, przebywając w krainie marzeń?

- Dlaczego ja? Dlaczego teraz?

Te pytania, zadane półgłosem, sparaliżowały ją.

- O czym ty mówisz?

Miała nadzieję, że nie powie jej tego, czego najbardziej się obawiała. Szczerze wierzyła, że nie zauważył tej chwili, kiedy nieoczekiwany ból wstrząsnął jej ciałem.

- Nie udawaj, Karen! Przed chwilą się z tobą kochałem... Jak myślisz, o co może mi chodzić? - Usłyszała nutę zniecierpliwienia w jego głosie. - Jesteś dziewczyną, więc pytam, dlaczego?

- Byłam dziewczyną - poprawiła go. - A dlaczego? Popatrz do lustra.

- Mam rozumieć, że po prostu wykorzystałaś okazję? - Gotowały się w nim jakieś skrywane uczucia. - Podobało ci się wyłącznie moje ciało?

- To nieprawda! - Zasypała jego wargi pocałunkami. - Wcale nie. Jesteś dla mnie nie tylko ciałem...

Zacisnęła usta zawstydzona tym wyznaniem, ale on tylko mruknął zachęcająco i wsunął palce w jej włosy, by przyciągnąć jej wargi do swoich.

- Cholera! Jak ja mam to porządnie zrobić, skoro boję się ruszyć, żebyś nie spadła na podłogę?!

- Wybieraj! - powiedziała z figlarnym błyskiem w oku. - Możesz to zrobić byle jak albo przenieść się na podłogę. I wtedy nie będzie obawy, że ktoś spadnie.

- Albo zrobić to byle jak na podłodze - zauważył z udawanym przekąsem, rozścielając na drewnianej podłodze stertę puszystych ręczników. - Chodź tu. Zaraz ci pokażę, na czym to polega.

I pochylił się nad nią, aż ich ciała stały się jednym.

Ostatni dzień pobytu w Laponii upłynął chłopcom na ich ulubionych atrakcjach. Przy okazji Nathan zrobił wiele zdjęć, wśród nich Marka i Matthew, każdego osobno, na grzbiecie renifera i na miniskuterze.

Karen przeszła przyspieszony kurs fotografii, kiedy Nathan wpadł na pomysł zjeżdżania z nimi na nartach: stawiał dziecko przed sobą, na swoich deskach. Chciał, aby w ten sposób chłopcy na własnej skórze, jak prawdziwi narciarze, poczuli ten niesamowity pęd powietrza.

- Prawie jak fruwanie! - zachwycił się Mark po trzecim zjeździe. - Czuję, że zaraz oderwę się od ziemi!

Karen najbardziej wryła się w pamięć wieczorna wyprawa przez milczący, mroczny las na samotne wzgórze. Niebo w końcu się rozchmurzyło i pokazały się na nim gwiazdy, migoczące niczym brylanty na czarnym aksamicie.

- Czy to tam jest niebo? - zapytał Matthew, przerywając ciszę.

Opierając podniesioną głowę na ramieniu Nathana, obserwował gwiazdy, które wydawały się znacznie większe, jaśniejsze i bliższe od tych, które widział w Anglii.

- Nie wiem - przyznał ojciec zdławionym głosem.

Karen poczuła, że ogarnia ją fala współczucia dla tego człowieka, który tak bardzo kocha swoje dziecko i którego zżera myśl, że może przegrać walkę z wyniszczającą je białaczką.

- Moja babcia - przyszła mu w sukurs - miała swoją teorię na temat gwiazd. Twierdziła, że wszystkie gwiazdy były kiedyś ludźmi. Człowiek po śmierci staje się gwiazdą, aby móc nadal oglądać swoich bliskich i pokazywać im, że nadal ich kocha.

- Czy ja też zamienię się w gwiazdę? - szepnął Mark.

- Chciałbym patrzeć na dół i widzieć tych, którzy patrzą na mnie.

- Myślę, że możesz być wszystkim, czym zechcesz - odparła, ukradkiem ocierając łzy.

- W ten sposób nikt o mnie nie zapomni - powiedział cicho, jakby do samego siebie, a Karen wydało się, że ta myśl pomogła mu rozładować niepokojące napięcie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pięć dni po tym, jak wrócili do szpitala, rodzice Marka mogli już go opuścić. Oboje wprawdzie nosili jeszcze gips, ale z pomocą troskliwych sąsiadów byli w stanie funkcjonować samodzielnie.

Ponadto Mark musiał wrócić do domu. Od powrotu do Anglii jego stan, który zaczął się pogarszać w Laponii, był coraz poważniejszy. Karen miała pełną świadomość, że chłopiec wraca do domu, by umrzeć.

- Doprawdy nie wiemy, jak mamy dziękować pani i doktorowi Beckettowi za opiekę nad naszym synem - mówił pan Hooper, gdy oboje przyszli po dziecko. - Stale ogląda wszystkie zdjęcia i opowiada nam wszystko po kolei. A najczęściej wspomina to spotkanie z Mikołajem...

- To bardzo zacy człowiek - powiedziała Karen, przypominając sobie łzy w oczach staruszka, gdy żegnał się z Markiem i Matthew w wigilię Bożego Narodzenia.

- Wywarł ogromne wrażenie na obu chłopcach - zauważyła pani Hooper. - Ani na chwilę nie chcą się rozstać z upominkami, które od niego dostali.

Uwaga ta wywołała uśmiech na twarzy Karen. To prawda. Mark wprawdzie już nie władał lewą ręką, lecz zawsze ścisnął swoją figurkę Mikołaja w prawej, a jeżeli miał ochotę zająć się grą komputerową, stawiał czerwonego ludka w zasięgu wzroku.

Również Matthew traktował swego reniferka jak talizman, mimo że nie czuł się wystarczająco dobrze, by go wypisać ze szpitala. Tego ranka, kiedy robiono mu badania sprawdzające skuteczność kuracji, nie wypuszczał go z ręki.

Cały oddział przyszedł pożegnać się z Markiem. Młodszy pacjenci uważali, że ich kolega po prostu wraca do domu, lecz ci starsi oraz ich rodzice zdawali sobie sprawę z tego, co nieuchronnie nastąpi. Personel natomiast, wiedziony doświadczeniem, przewidywał, iż stan zdrowia niektórych pacjentów może się pogorszyć, ponieważ skojarzą to zdarzenie ze swoją sytuacją.

Już tego samego wieczoru jeden z chorych na białaczkę limfoblastyczną zachowywał się płaczliwie. Najciężej jednak przeżył to rozstanie Matthew. Wszyscy wiedzieli, że obaj chłopcy są nierozłącznymi przyjaciółmi. Jednak nawet Karen nie podejrzewała, że Matthew, ten optymista i twardy zawodnik, tak szybko podda się rozpacz, która wręcz go pochłonęła.

- Karen?

Na dźwięk tego głosu podniosła głowę znad papierów. Stał na progu, z rękami w kieszeniach ciemnoszarej marynarki.

Przeraziła się na widok jego zmęczonej twarzy.

Od powrotu z Finlandii Nathan odzywał się do niej tylko w obecności osób trzecich. Nie mógł wyraźniej pokazać jej, że żałuje tego, co między nimi się wydarzyło. Mógłby jeszcze wywiesić specjalny transparent przed szpitalem.

Uśmiechnęła się gorzko na wspomnienie wspaniałego pożegnania, jakie zgotował im oddział, kiedy wyjeżdżali z Markiem i Matthew do Laponii.

- Proszę, usiądź. - Gestem zaprosiła go na fotel, na którym siadywał w szczęśliwszych czasach. - Kawa? - Podeszła do tacy z dzbankiem.

Bez przekonania przyjął kubek.

- W czym mogę pomóc? - zapytała, żeby przerwać nieprzyjemną ciszę. - Masz jakiś kłopot z pacjentem?

- Z Matthew - westchnął. Dopiero teraz spojrzał jej w oczy. - Od kiedy Mark wrócił do domu, straciłem z nim kontakt. Nie chce mi nic powiedzieć - ciągnął niechętnie, jakby samo mówienie sprawiało mu ból.

- Co mam zrobić? - Wiedziała, że zrobi wszystko, o co ją poprosi, chociażby tylko po to, by przywrócić blask jego spojrzeniu.

- Możesz z nim porozmawiać? - spytał z wahaniem. - Chciałbym, żebyś spróbowała wyciągnąć od niego, co się mu roi w głowie.

- Powiedziałeś mi, jak wypadły wyniki ostatnich badań? Czy wie, że nie są dobre?

- Nie miałem odwagi. Najpierw muszę poznać przyczynę jego przygnębienia.

- Niedługo trzeba go będzie o nich poinformować - zauważyła. - Jest leczony wystarczająco długo, żeby się zorientować, że zaczęła się nowa kuracja. Będzie chciał wiedzieć dlaczego.

- Tak, to do niego bardzo podobne.

Myśl, że jego sześćioletni syn zmusza go zachowania czujności, napawała go dumą mocno zaprawioną goryczą.

- Kiedy mam zrobić pierwsze podejście? Wieczorem, kiedy już wyjdiesz do domu, czy wolałbyś raczej być w pobliżu, gdyby potem chciał z tobą porozmawiać?

Przeczesał palcami włosy.

- Wolałbym, żeby to w ogóle nie było konieczne - przyznał. - Nie rozumiem, dlaczego tak się przede mną zamknął. Od samego początku razem walczyliśmy z chorobą, a tu nagle...

- W porządku - przerwała mu energicznym tonem. - Zaczekam, aż na oddziale nieco się uspokoi. Włączę telewizor. Jego dźwięk zagłuszy rozmowę i Matthew nie będzie się obawiał, że usłyszy nas ktoś niepożądany.

- Ale...

- Ty siedź tutaj tak, żeby cię nie widział. Dam ci znak, jeżeli będziesz mi potrzebny.

- Jeżeli... - powtórzył przygnębiony. - Przyznam ci się, że jestem u kresu sił.

- Jest ci trudniej, ponieważ bardzo go kochasz - powiedziała cicho, świadoma silnej więzi, jaka łączyła ojca z synem.

- Zrobiłbym dla niego wszystko - oznajmił Nathan. - Wszystko!

Tak się złożyło, że Karen mogła zajrzeć do Matthew znacznie później, niż zamierzała i teraz nie była pewna, czy chłopiec już nie zasnął.

W sąsiedztwie szpitala wybuchł gaz w jednym z domów i na wszystkich oddziałach trzeba było poprzestawiać łóżka, aby zrobić miejsce dla rannych. Karen i Nathan z kolei musieli odłożyć swój plan na później z powodu niespodziewanego ruchu w pediatrycznej izbie przyjęć.

W końcu Nathan zajął swoje miejsce w dyżurce. Matthew leżał skulony, tyłem do szyby. Nie zmienił pozycji od wielu godzin.

- Matthew? - zagadnęła Karen półgłosem.

Jeżeli śpi, nie będzie go budzić, chociaż bardzo chciała poznać powód jego zachowania.

- Słucham.

- Czy mogę dotrzymać ci towarzystwa przez jakiś czas? Nie mam z kim rozmawiać.

Czekała, co powie. Decyzja należała do niego.

- Dobrze - westchnął.

Przysunęła krzesło i usiadła. Początkowo zamierzała przysiąść na łóżku, żeby być bliżej niego, ale doszła do wniosku, że nawet sześciolatek ma prawo decydować, czy chce nawiązać z nią kontakt.

Milczeli przez długie pięć minut.

Karen zaczęła tracić nadzieję, gdy nagle chłopiec wyprostował się i poważnym wzrokiem spojrzał na nią.

- Mark wyszedł ze szpitala, żeby umrzeć w domu - poinformował ją drżącym głosem.

- Wiem.

Nie miała wątpliwości, że takie dramatyczne rozmowy będzie prowadzić jeszcze nieraz, dopóki będzie pielęgnować tak bardzo chore dzieci. Mogła jedynie pozwolić, by to on podjął wątek. Czekała.

- Jeżeli wyniki moich badań będą złe, ja też umrę.

Nie dostrzegła w tych słowach cienia wątpliwości. Zastanawiała się, czy nie powinna dać mu fałszywej nadziei, aby miał się na czym oprzeć, ale to nie

byłoby w porządku. Spędził tyle czasu wśród śmiertelnie chorych dzieci, że pogodził się ze śmiercią znacznie wcześniej, niż powinien.

- Jeżeli wyniki twoich badań okażą się złe, to będzie znaczyło, że nie osiągnęliśmy chemoterapią tego, czego oczekiwaliśmy. Ale twój tata opracuje nową kurację, żebyś poczuł się lepiej. Twoje nazwisko jest już w komputerze poszukującym dawców szpiku. - Odważyła się pogłodzić go po ręce. - Twój tata nie podda się, nawet jeśli wyniki będą złe.

Nabrała otuchy, gdy nie odsunął ręki. Mimo to długo bił się z myślami, zanim ponownie się odezwał.

- A jak umrę? Wtedy się podda - powiedział ze smutkiem.

Matthew popatrzył na swoją zaciśniętą dłoń, po czym rozluźnił palce na tyle, by mogła zobaczyć zakręcone różki i kolorową uprząż renifera. Nie bardzo wiedziała, co to ma znaczyć, ale wołała nie dochodzić, ponieważ czuła, że nareszcie docierają do sedna problemu. Nie chciała, żeby znowu zamknął się w sobie. Najpierw niech powie, co się stało.

- Mikołaj powiedział, że bym patrząc na Rudolfa pamiętał, że pragnienia mogą się spełniać, ale one się nie spełniają!

Jego rozczarowanie było tak dalekie od stanu urzeczenia, jakiemu uległo tamto dziecko, które z taką ufnością rozmawiało z człowiekiem w czerwonym stroju.

- Jakie twoje życzenie się nie spełniło? Może trzeba mu trochę pomóc? Jak życzeniu Marka, który chciał spotkać Mikołaja?

- Fundacja nie może tego zrobić. Tylko tata może - odparł bez cienia wahania.

- Poprosiłeś go? Pokręcił głową.

- Czy to jest bardzo ważne?

- Tak - szepnął. - Bardzo ważne.

- Czy nie wydaje ci się, że jednak powinieneś go poprosić? Może się okazać, że on będzie w stanie je spełnić. Wiem, jak bardzo cię kocha, i jestem pewna, że jeżeli tylko będzie mógł, to to zrobi.

Znowu milczenie. Pod osłoną prześcieradła Karen zacisnęła kciuk.

W pewnej chwili Matthew wyrwał piąstkę z jej dłoni. Zamarła, przerażona, że poniosła porażkę, ale on rozluźnił palce i zaczął się wpatrywać w renifera.

- Zgoda. - Po raz pierwszy od dłuższego czasu odezwał się raźniejszym głosem. - Poproszę go.

- Mam go poszukać i powiedzieć, że chcesz z nim porozmawiać? - zaproponowała pospiesznie w obawie, że chłopiec może się rozmyślić.

- Przeprowadzisz go? - Przeszył ją spojrzeniem, zerknął na renifera i zacisnął na nim palce. - Musisz przyjść razem z nim.

Obiecała, że przeprowadzi go jak najszybciej i ruszyła w stronę dyżurki.

- No i co? - dopytywał się gorączkowo Nathan, ledwie; przekroczyła próg. Domyśliła się, że siedział tu tylko ze strachu, że Matthew może go zobaczyć. - Coś ci powiedział?

- I tak, i nie... - Gestem powstrzymała jego pytania. - Mamy do czynienia z sześciolatkiem, który zмага się z pojęciem śmierci, własnej oraz innych. Powiedział mi, że Mark poszedł do domu, żeby umrzeć...

Nathan pobladł, jakby domyślał się dalszego ciągu.

- Potem powiedział, że jeżeli jego wyniki będą złe, to on też umrze.

- Wielki Boże! Czy on sobie wyobraża, że ja mogę spisać go na straty?! Przecież wie, że zrobię wszystko, co mogę...

- Też mu to powiedziałam. Przypomniałam mu, że jest w komputerze...

- Co on na to?

- Oświadczył, że Święty Mikołaj się pomylił, że życzenia się nie spełniają.

- Jakie było jego życzenie? Żeby wyniki były idealne?

- Nie. Powiedział, że to jest życzenie, które tylko ty możesz spełnić.
- Więc dlaczego nic mi nie mówi? Dostanie wszystko, co zechce...
- Podejrzewam, że spodziewał się cudownej mocy po reniferze Rudolfie.

Musiałam mu przypomnieć, że czasami życzeniom trzeba pomóc, tak jak to robi Fundacja.

- Pomogło?

- Tak. Chce cię o to sam poprosić, ale z jakiegoś powodu ja też mam być przy tym.

Podążając za Nathanem, czuła niepokojący ucisk w żołądku. Miała przeczucie, że gdy staną w kręgu światła rzucanym przez nocną lampkę, wydarzy się coś niezwykłego.

- Cześć, Matthew.

Nathan usiadł na krześle, które niedawno zajmowała Karen.

- Tata!

Matthew odwrócił się na plecy i oparł na poduszkach.

- Karen powiedziała mi, że masz jakieś nowe życzenie. Coś, co ja mam zrobić.

Chłopiec skinął głową. Przez dłuższy czas cała trójka wpatrywała się w reniferka, którego obracał w palcach. W końcu spojrzał ojcu głęboko w oczy i powiedział głośno i wyraźnie:

- Chcę, żebyś się ożenił.

- Co?! - Dorośli byli wstrząśnięci. - Dlaczego? - Nathan wpatrywał się w syna, jakby chciał przejrzeć myśli, które podsunęły mu ten szalony pomysł. - Dlaczego chcesz, żebym się ożenił?

Chłopiec wyraźnie się przestraszył i spuścił wzrok na drewnianą ozdóbkę. Lecz po chwili, nabrawszy odwagi, wyprostował ramiona, podniósł głowę i spojrzał ojcu prosto w oczy.

- Bo nie chcę, żebyś został sam, kiedy umrę - oznajmił. Nathan oniemiał.

- Karen powiedziała, że to zrobisz - dodał Matthew. - Powiedziała, że potrafisz spełniać życzenia.

Poczuła szum w uszach, słysząc, że chłopiec powołuje się na jej słowa. Co Nathan sobie pomyśli? Nie miała pojęcia, że takie będzie życzenie chłopca! Gdyby wiedziała, zapytałaby go, czy wybrał już kandydatkę...

- Z kim mam się ożenić? - usłyszała głos Nathana.

A jeżeli przyjdzie jej patrzeć na ślub ukochanego mężczyzny z inną kobietą?

- Z Karen, tato... - powiedział Matthew, poirytowany tępotą ojca.

Nathan odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Poczuła, że brakuje jej powietrza. Uniosła tylko ramiona w geście bezradności, niezdolna powiedzieć mu, że nie wiedziała, jakie będzie życzenie Matthew.

- Synu, ona może się nie zgodzić - zauważył z kamienną twarzą. Nie potrafiła odgadnąć jego myśli. - Nie będę mógł spełnić twojego życzenia bez jej zgody.

- Ale Karen się zgodzi - rzucił Matthew, zanim zdążyła otworzyć usta. - Ona teraz pomaga ludziom z Fundacji wysłać kogoś do Disneylandu. Słyszałem, jak mówiła, że zrobi wszystko, żeby pomóc.

- To nie to samo - zaczął Nathan, lecz chłopiec nie chciał go słuchać.

- Proszę cię, tato. Zapytaj ją. Zobaczysz - poprosił, spoglądając to na jedno, to na drugie.

- Uspokój się, Matthew. Uspokój. W ten sposób niczego nie osiągniesz...

- A w jaki? - zapytał podejrzliwym tonem. Poczzerwieniał, oddychał szybciej, niż powinien, ale nieco już się opanował. - Jak ty byś to zrobił?

- Hmm. - Nathan zerknął kątem oka na Karen. - Kiedy mężczyzna zamierza poprosić jakąś panią o rękę, zabiera ją na przykład do restauracji.

- Żeby się jej przymilić? Jak ja, kiedy chcę coś dostać?

Karen z trudem stłumiła śmiech. Oto stoi przy szpitalnym łóżku sześciolatka, który namawia własnego ojca do ożenku. Czysty surrealizm.

- Mniej więcej - odparł Nathan poważnie, mimo że trochę poczerwieniał.

- No to spróbuj - naciskał Matthew. - Ona jest bardzo miła i umie opiekować się ludźmi.

- Zastanowię się - oznajmił Nathan, uciekając się do typowo rodzicielskiej wymówki.

- Tato! Nie mamy na to czasu. Dzisiaj znowu pobierali mi krew.

- Dobrze. - Zdaje się, że wzmianka o badaniach przemówiła do niego bardziej niż perspektywa samotności. - Zaproszę Karen...

- Żeby się jej przymilić?

- Właśnie. - Nathan wznosił spojrzenie ku niebu. - Potem powiem ci, jak zareagowała.

- Zgodzi się. - Matthew ułożył się wygodniej na poduszkach. - Wiem, że się zgodzi.

- Przepraszam, nie miałam pojęcia, o co cię poprosi... - tłumaczyła się, gdy weszli do dyżurki. - Uwierz, że nie mam z tym nic wspólnego. Niczego mu nie podpowiadałam.

- Spokojnie... - Usiadł w swoim fotelu. - Matthew miewa najprzeróżniejsze pomysły bez niczyjej pomocy. Pytanie, co my z tym zrobimy?

- Jak to? - Znieruchomiała, sięgając po słoik z kawą. Nagle ogarnęła ją fala sprzecznych uczuć: strachu i nadziei. - A co możemy zrobić?

- W opinii Matthew potrzebuję żony, która będzie się mną opiekowała, kiedy... gdyby miał umrzeć.

Spojrzała na niego wymownie. Oboje wiedzieli, że ta możliwość staje się coraz bardziej realna.

- Nie możesz przecież żenić się ot tak, tylko dlatego, że twój sześciolatek syn widzi taką potrzebę.

- Dlaczego nie? Jeżeli tak bardzo mu na tym zależy? Sama powiedziałaś, że zrobię wszystko, żeby go uszczęśliwić.

- Ale... ożenić się?

Czuła, że ogarnia ją podstępna radość. Czy rzeczywiście mogłby się z nią ożenić tylko po to, żeby Matthew był szczęśliwy? A jeżeli rzeczywiście się pobiorą? Przecież Nathan nie wie, że ona go kocha. Czy jest szansa, że odwzajemni jej uczucie?

- Będzie całkiem szczęśliwy, jeżeli nie dowie się, że nie jesteśmy prawdziwym małżeństwem - zawyrokował Nathan.

Jej marzenia o wspólnej, jasnej przyszłości prysły niczym bańka mydlana.

- Małżeństwo na niby? - rzuciła odważnie, aby nie mieć już żadnych złudzeń. - Wyłącznie dla jego dobra?

- To jedyne wyjście, biorąc pod uwagę, ile nam czasu zostało - odparł rzeczowo. - Zgadzasz się?

Wiadomość ta wprawiła Matthew w zachwyt.

- Wiedziałem! Wiedziałem, że jak ją poprosisz, to się zgodzi! Już rozmawiałem z księdzem!

- Z księdzem? - zaniepokoił się Nathan, rzucając jej pytające spojrzenie.

Gestem zaprzeczyła, czując jednocześnie nieprzyjemne ciarki na plecach.

- On ma kościół w naszym szpitalu i przychodzi rozmawiać z pacjentami - wyjaśnił Matthew. - Rozmawiałem z nim.

- O czym?

- O ślubie! - Dla niego wszystko było jasne. - Zapytałem go, co masz zrobić, żeby szybko wziąć ślub, a on powiedział, że się tym zajmie, jak tylko będziesz gotowy.

Karen zobaczyła, że Nathan zaciska powieki, jakby w nadziei, że cały ten koszmar zniknie, gdy ponownie otworzy oczy. Z zapartym tchem obserwowała ten pojedynek woli ojca i woli syna. Już sama nie wiedziała, po czyjej jest stronie.

- Kiedy on tu znowu przyjdzie?

Wyraźnie słyszała nutę sarkazmu w głosie Nathana.

- O dziesiątej - zaszczębiotał Matthew, zerkając na zegar wiszący na przeciwległej ścianie.

Karen z trudem podnosiła głowę, by zobaczyć, jak dłuższa wskazówka ustawia się pionowo, pokazując punkt dziesiątą. W tej samej chwili drzwi otworzyły się i w progu stanął zapowiadany gość.

- Czy ty, Nathanie, pragniesz poślubić tę oto Karen?

Uroczyste słowa rozbrzmiewały czysto ponad głowami zebranych w szpitalnej kaplicy.

- Tak.

- Czy ty, Karen, pragniesz poślubić tego oto Nathana?

- Tak - powiedziała bez wahania.

Przygotowania do ślubu trwały zaledwie trzy dni. Trzy dni pełne uniesienia i panicznego strachu, który ogarniał ją na myśl o tym, na co się zdecydowała.

Nigdy w życiu nie uwierzyłaby, że sześciolatek może nakłonić dwoje dorosłych ludzi do ślubu.

- Karen...

Poczuła jego dłonie na swoich ramionach i ujrzała twarz Nathana tuż nad swoją. Dopiero wtedy pojęła, że kapelan już umilkł, a Nathan chce ją pocałować.

- Mogę? - szepnął.

Zorientowała się, że zauważył jej zmieszanie.

- Oczywiście - odparła, świadoma, że wszyscy zebrani tylko czekają na tradycyjny finał tej uroczystości.

Zapomniała jednak, że pocałunki Nathana nie są zwyczajnymi pocałunkami. Dała się ponieść wspomnieniu tej ich jednej, gorącej nocy w Laponii. Przestała myśleć. Trwało to wiecznie.

- Chryste! - jęknął, opierając w końcu czoło na jej skroni. - Przez ciebie zapominam, gdzie jestem.

- Przeze mnie? - szepnęła speszona, uświadamiając sobie, że całe gremium zebrane w kaplicy widziało ten pocałunek, włącznie z sześćioletnim chłopcem, który nader bacznie im się przyglądał z pierwszej ławki. - To ty jesteś maniakiem seksualnym! Wystarczy obejrzeć twój kubek!

Roześmiał się cicho i objął gestem pełnym czułości i szacunku. Po raz pierwszy odważyła się spojrzeć mu w oczy.

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy - powtórzył szeptem, tym razem tylko dla niej. Poczula, że wszystko dobrze się ułoży.

- Kocham cię, Nathanie - szepnęła, gdy samolot lądował na ośnieżonym lotnisku w Rovaniemi.

- Ojej, znowu te głupoty! Zwariować można - mruknął chłopiec siedzący przy oknie.

Nathan akurat pochylał się, by ją pocałować, ale uwaga syna zupełnie go rozbroiła. Roześmiał się.

- Siedź cicho, młody człowieku. Jeżeli ci się nie podoba, to możesz mieć pretensję tylko do siebie. Sam ją wybrałeś.

Ojciec i syn często przekomarzali się na ten temat, chociaż jeszcze dwanaście miesięcy temu Karen nawet nie przypuszczała, że tak to będzie wyglądać.

Wróciła myślami do dramatycznych wydarzeń sprzed roku. Ledwie odwieźli Matthew na oddział po krótkiej ceremonii zaślubin w szpitalnej kaplicy, otrzymali wiadomość, że komputer znalazł dla niego odpowiedniego dawcę szpiku.

Miała wrażenie, że wieki trwało, nim dowiedzieli się, że organizm chłopca przyjął przeszczep. Gdy przyszło pierwsze potwierdzenie, Nathan porwał ją w ramiona i po raz pierwszy wyznał jej miłość.

Przybywali teraz z wizytą do tego zaczarowanego miejsca, gdzie narodziło się ich uczucie. Tym razem jednak nie była to podróż z dziećmi u kresu życia, lecz z dziećmi, które miały przed sobą całą przyszłość.

- Czy dzisiaj idziemy do Mikołaja? - zapytał Matthew, kiedy czekali, aż dwójka dzieci w wózkach inwalidzkich opuści przed nimi samolot w towarzystwie opiekunów.

- Chyba tak, ale musisz być czujny - odparł Nathan, spoglądając znacząco na Karen. - I pomyśleć, że rok temu my byliśmy na ich miejscu - szepnął. - I co z tego wynikło?

Powiódł spojrzeniem po jej twarzy i po twarzy syna, o którym jeszcze niedawno myślał, że go straci. Na koniec jego wzrok padł na zawiniątko w jej ramionach.

- Co u niego słyhać?

- Przewinięty, najedzony i... coraz cięższy - pożałowała się uradowana, uśmiechając się słodko do ich młodszego syna.

- Niedługo będziemy w hotelu.

- Chyba że jakiś łoś zatrzyma nas po drodze.

Bez żadnych komplikacji dotarli do luksusowego autokaru i wkrótce znaleźli się w dwupokojowym domku.

- Nie wolałbyś tamtej chatki, żeby sobie powspominać? - zagadnęła, gdy Nathan wnosił stertę rzeczy dla niemowlaka.

- Nie, dziękuję. - Upewnił się, że Matthew ich nie słyszy. - Tym razem nie dojdzie do obrazy fińskiej moralności w saunie, ponieważ mamy własne łóżko, w którym będziemy spali bez świadków. - Musnął wargami jej usta. - Rozpakujmy się i chodźmy coś zjeść.

Matthew mógł już o własnych siłach pójść na kolację i wziąć udział w atrakcjach przygotowanych dla hotelowych gości. Cała trójka wiedziała jednak, że jest tylko jeden powód, dla którego chłopiec pragnął przyjechać do Rovaniemi.

- Zapraszam! - usłyszeli znajomy głos z obcym akcentem, kiedy dotarli do chatki ukrytej w lesie.

- *Joulupukki!* - powitał Matthew staruszka w czerwonym stroju. -
Przyjechałem, żeby ci coś pokazać.

Starzec przymrużył niebieskie oczy, by przyjrzeć się wyprostowanej sylwetce chłopca, który stał przed nim z wyciągniętą dłonią, na której trzymał drewnianego renifera.

- Dałeś mi to rok temu i powiedziałaś, że pragnienia mogą się spełniać. I zobacz! - Gestem wskazał Nathana, który właśnie pomagał Karen wysiąść z sań.
- Tato, pokaż Marka Mikołajowi!

Widząc zawiniątko w ramionach Karen, starzec podszedł do niej i wprowadził do chaty. Starannie zamknął drzwi, aby ciepło nie uciekało z izby, i zaprosił ją, by usiadła na jego krześle.

- To jest Mark? - zapytał, nieco uchylając kocyka, by popatrzeć na twarzyczkę śpiącego.

- Mój braciszek - odparł z dumą Matthew. - Strasznie chciałem, żeby tata się ożenił. Nie chciałem, żeby został sam, kiedy umrę. Ale wyzdrowiałem, a na dodatek zostaliśmy rodziną.

- To dobrze. - Starzec pokiwał siwą głową. - To dobrze, że pragnienia mogą zaowocować takim szczęściem. - Podał Nathanowi dłoń, którą ten serdecznie uścisnął.

- Teraz powiedz mi, Matthew, co sprowadza cię do nas w tym roku? Masz jakieś nowe życzenie?

- Wcale nie! - Chłopiec szczerze się zdziwił. - Już mi niczego nie potrzeba. Przyjechałem, żeby ci podziękować.

Na ich twarzach malowała się sama radość.

- Udał się wam ten chłopak - zwrócił się starzec do Karen i Nathana, gdy Matthew zajął się oglądaniem ozdób w chacie. - On już wie coś, czego wielu nie może się nigdy nauczyć. Że w naszych pragnieniach najważniejsze jest dobro innych...

Nathan otoczył ramieniem Karen. Uśmiechnęła się do niego czule.
Wiedziała już, że ich pragnienia się spełniły.



RS